

**Piękne, stare
samochody - str. 4-5
Mieczysław Kurzątkowski**

Biblioteka
UMCS
LUBLIN

**Ostatni film
Bruce'a Lee - str. 12
Michał Rey**

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kamena



NR 24 (791)

20 listopada - 3 grudnia 1983

CENA 10 ZŁ

PO ZWYCIĘSTWIE WIEDENSKIM

Gorzkie owoce

Adam Andrzej Witusik

WDZIEŃ po bitwie wiedeńskiej, 13 września 1683 r., naczelny wódz armii odsieczowej Jan III Sobieski wyraził życzenie zwiedzenia oswobodzonego Wiednia. Życzeniu monarchy polskiego trudno było odmówić i jeszcze tego dnia Sobieski ze swym otoczeniem zwiedził miasto, przyjmowany przez dowódcę obrony Wiednia, hrabiego Ernesta Rüdigera von Starhemberga. I gorąco witany przez mieszkańców którzy słusznie uważali króla polskiego za wybawcę. Wizyta ta przyczyniła się do naprężenia stosunków między Janem III Sobieskim a cesarzem Leopoldem I Habsburgiem. Istotnym powodem nieporozumień były jednak sprawy inne, głównie węgierskie.

Otóż jeszcze w lipcu 1683 r. marszałek nadworny koronny, dowódca polskiego korpusu pomocniczego walczącego w ramach armii austriackiej, Hieronim Augustyn Lubomirski, wystąpił z pomysłem osadzenia na tronie węgierskim syna Sobieskiego, młodzieńczego królewicza Jakuba, który miał pojąć córkę cesarza Marię Antoninę. Projekt ten spodobał się Janowi III i jego małżonce Marii Kazimierze. Przybycie 3 września 1683 r. do Krakowa poselstwa od Irme Thököly'ego, przywódcy powstania antyhabsburskiego na Węgrzech, z propozycją korony dla Jakuba, zamysł Lubomirskiego urealniano. Maria Kazimiera, uszczęśliwiona zjawieniem się poselstwa poinformowała o tym nuncjusza papieskiego w Polsce Pallaviciniego. Ten z kolei doniósł o tym nuncjuszowi papieskiemu w Austrii Buonvisiemu. Sprawa dotarła do wiadomości cesarza Leopolda I Habsburga, który oczy-

wiście nie zamierzał rezygnować z władzy na Węgrzech.

Na cesarskim dworze triumf popularności Jan III Sobieski święcił raczej przed bitwą wiedeńską. Spieszył król na ratunek oblężonej stolicy habsburskiej i zagrożonej w swym byciu Austrii. Po bitwie wszystko się odmieniło. W niecały tydzień po zwycięstwie, 17 września 1683 r., Sobieski pisał do królowej Marii Kazimierzy: „Narzeczono kiedyś za Rzymian na Annibala, że zniósłszy wojsko ich, zażyć wiktoria nie miał; my byśmy zaś umieli, ale czy nie chcemy, czy Bóg nie pozwala, widząc niewdzięczność naszą za tak wielkie nam pokazane łaski, czy też jest coś w tym, czego my rozumieć nie możemy... Wczora po południu posyłałem do [wodza wojsk cesarskich] księcia lotaryńskiego, pytając się, co wódy już uradzili, co czynić dalej będziemy... Oni nas zaś zwiędzą ode dnia do dnia, a sami wszyscy w Wiedniu siedzą zażywając tychże podobno swych gustów i plezyrów [przyjemności], za które ich Pan Bóg sprawiedliwie karać chciał... Cóż po tej wiktoria, kiedy w ziemie nieprzyjacielskie nie idą i nas wprzód zgubią, niżeli tam dojdziemy. Jesteśmy teraz tu właśnie jako zapowietrzeni, nikt się do nas nie pokaże; a przed potrzebą przecisnąć się było w tak wielkich moich nie można namiotach... Stoimy tu nad tymi brzegami dunajskimi, jako kiedyś lud izraelski nad babilońską wodą płacząc nad koźmi naszymi, nad niewdzięcznością tak nigdy niesłychaną i że tak dogodną nad nieprzyjacielem opuszczamy okazję.”

Dokończenie na str. 8-9

Pamflet na studenta

Artur Borkowski

WŁASZCIELEM dyplomu wyższej uczelni zostało i pół roku temu. Nie tak dawno jeszcze wertowałem opasłe skrypty i walczyłem z egzaminatorami. Pamiętam dokładnie groźnego pana dziekana i sympatyczne dziewczyny z biblioteki wydziałowej. Z rozrównieniem myślę o koleżankach i kolegach z grupy działania, a także o długich corocznych wakacjach. Było, minęło. Zostało trochę otrzęsinowych zdjęć i miłych wspomnień. Ale czas zrobił swoje: narodziły się też dziwne refleksje.

Zacząłem się zastanawiać, jaki jest ten polski student? Na pewno ubiegając się o indeks nie jest do końca przekonany, że robi dobrze. Rodzina chce mieć w domu magistra lub inżyniera, kole-dy-privaciarze śmieją się z ambitnych zamierzeń. On sam bardzo mgliście widzi swoją przyszłość. Kusi go fama o studenckim, pełnym luzu życiu, liczy na wielką żakowską miłość. Przez okres pierwszego roku uczy się pilnie. Nie opuszcza zajęć, godzinami przesieduje w bibliotece. Unika starszych, zrutynizowanych studentów, dla których zdobywanie wiedzy to coś, o czym się mówi przy okazji zdawania egzaminu komisijnego.

Mając pierwszy rok w kieszeni, polski student zaczyna żyć spokojnie. Nie zarywa nocy podczas

Dokończenie na str. 10

Starsi niż „Mazowsze”



Fot: Cezary Krupa

ZE SZCZEGÓLNA przyjemnością odnotowujemy jubileusz 35-lecia Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. Powodów jest kilka, a także mitów do rozwiązania (pierwszy już w tytule).

Lubelski ansambl jest starszy o rok od „Mazowsza” i o pięć lat od „Słaska”, o czym mało kto wie, a warto. Liczy też więcej tancerzy niż każdy z dwóch wymienionych, a być może nawet więcej niż oba razem wzięte. W zespole tańczy 750 osób w wieku od 6 do 30 lat, ćwiczących w jedenastu grupach wiekowych: od najmłodszych „Wróbelków” do grupy reprezentacyjnej.

W dotychczasowej historii, której w znacznej części współtwórczynią była Wanda Kaniorowa, założycielka i wieloletnia dyrektorka zespołu (zmarła w 1980 roku), zespół koncertował 4000 razy, odwiedził 20 krajów na czterech kontynentach, do których udawał się ponad pięćdziesiątkrotnie. Ostatnimi, tegorocznymi były wojaże do Berlina Zachodniego i do Syrii. Przy czym ranga tego drugiego była o tyle szczególna, iż odbył się w ramach wymiany kulturalnej polsko-syryjskiej objętej stosownym protokołem.

Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej wyróżniany był wielokrotnie nagrodami resortów kultury i sztuki oraz oświaty i wychowania, zdobywał laury na festiwalach międzynarodowych. Również kadra pedagogiczno-artystyczna w nim pracująca otrzymywała podobne dowody szacunku i uznania (że wymienimy nagrodę specjalną prezesa Rady Ministrów gen. Wojciecha Jaruzelskiego przyznaną dyrektorowi i kierownikowi artystycznemu Ignacemu Wachowiakowi w roku ubiegłym). Niedawno (vide zdjęcie) odwiedził lubelskich tancerzy wicepremier Mieczysław F. Rakowski. Serdecznie gratulował osiągnięć w pracy pedagogicznej i artystycznej oraz przyjął zaproszenie na trzydniowe obchody 35-lecia, w dniach 24-26 listopada br. Informując o powyższym, dodajmy, iż punktem kulminacyjnym będzie koncert galowy „Z tej ziemi jesteśmy...” o godzinie 17, 26 listopada. Zapraszamy nań Czytelników i ze swej strony gratulujemy jubileuszu całemu zespołowi, na trwałe związanemu z naszym regionem, ludowością i folklorem, z narodową kulturą po prostu.

(wjp)

z notatnika

Zanim „Kamena” stanie się tygodnikiem

13 XI. Już od dłuższego czasu mój notatnik straszy czystymi kartkami. Jubileusz 50-lecia „Kamena” nieco wytrącił mnie z codziennego rytmu pracy. Ową jubileusz podzielony był zresztą: rozpoczął się w Lublinie (spotkaniem z władzami polityczno-administracyjnymi w Klubie MPIK) a zakończył w Chełmie (sesją popularnonaukową). Zespół redakcyjny i ja o sobiście otrzymaliśmy wiele dowodów uznania za dotychczasowy trud (odznaczania, listy i telegramy z życzeniami, wśród nich list od generała armii Wojciecha Jaruzelskiego), skierowano też do nas wiele ciepłych słów i życzeń na dalszą tygodnikową drogę naszego pisma. Szczególnie utkwiły nam w pamięci przestrogi wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego, który słusznie zwrócił uwagę, iż „jako tygodnik pismo może się rozłożyć, ale może również pójść w górę. Życzę wam tego ostatniego”.

Bardzo pragnąłbym, aby to życzenie mogło się spełnić, choć trudności — nie ma czego ukrywać — piętrzą się sporo. Zawsze towarzyszyła nam życzliwość naszych Czytelników (listy od nich z okazji jubileuszu to potwierdziły), których traktowaliśmy i traktujemy poważnie, mamy więc nieoplonną nadzieję, że w obecnym trudnym okresie pisma będą nam oni służyć radą i pomocą. Szczególnie liczymy tu na tych Czytelników, którzy są jednocześnie współpracownikami „Kamena”, wspierając ją swymi piórami.

„Kamena” jako tygodnik będzie miała nie 12 stron, ale stron 16. Inaczej mówiąc w ciągu miesiąca 64 strony a nie 24. 64 minus 24 to 40 — o tyle stron więcej miesięcznie. Zwiększenie liczby stron pojedynczego egzemplarza to również określona, o 5 złotych, podwyżka jego ceny. Stary Czytelnik „Kamena” będzie więc wydawał miesięcznie nie 20 złotych, ale 60 złotych. Suma niby niewielka, ale przecież równocześnie drożeją w pewnej mierze i artykuły żywnościowe — portfele będą więc chudnąć. A kioski z gazetami nie są puste, nawet pisma, które dawniej sprzedawano spod lady, kuszą barwnymi okładkami, a niekiedy i sensacyjną treścią. Na brak konkurencji trudno więc narzekać.

Zdajemy sobie też sprawę, że jako tygodnik „Kamena” będzie sprzedawana krócej — o siedem dni. Czytelnicy muszą się do tego przyzwyczaić. Oczywiście postaramy się w tym pomóc drukując teksty cykliczne, takie, które wzbudzą powszechne zainteresowanie. Myślimy również o doborze odpowiedniej powieści, takiej, którą czytelnicy z zapartym tchem, niecierpliwie czekając na następny odcinek. Czy to ma być kryminał, fantastyka? A może powieść obyczajowa? A może młodzieżowa? Szukamy bo chcemy trafić w dziesiątkę, dbając jednocześnie o odpowiedni poziom tej publikacji. Jeśli Czytelnicy mają w tym względzie jakies ciekawe pomysły — prosimy się z nami podzielić. Konsultacje — tak modne dzisiaj i nam są bardzo potrzebne.

Jeden z moich dobrych znajomych, który — jak mówi — zna życie, radzi tak: „Róbcie 14 stron w miarę poważnie, ale na końcu 14 strony napiszcie, że tutaj kończy się „Kamena”, a za dwie ostatnie strony redakcja nie bierze odpowiedzialności. Tam już możecie sobie poszaleć drukując nawet horoskopy, akty, mało cenzuralne (obyczajowo) rysunki, krzyżówki etc., etc. Te ostatnie dwie strony całej „Kamena” zjedną nowych Czytelników”.

Może i to jest jakiś pomysł. Traktujemy go z przymrużeniem oka, aczkolwiek zdajemy sobie sprawę, że pismo kupują ludzie różni, każdy z nich chciałby w piśmie znaleźć coś, co go szczególnie zainteresuje. Nie zawsze będzie to wiersz opowiadanie czy artykuł publicystyczny. Ale kupując „Kamena” — właśnie z uwagi na akt czy też horoskopy — Czytelnik przy okazji poniekąd przeczyta i teksty poważniejsze.

Niemniej jednak to, o czym wyżej, to środki doraźne, które mogą wpłynąć na sam nakład, ale przecież nie dadzą zbyt dużej satysfakcji zespołowi, no i

tu i ówdzie będą spotykać się z krytyką zbyt pryncypialnie nastawionych odbiorców. W tym miejscu chcę jednak przypomnieć, że Kazimierz Andrzej Jaworski, założyciel „Kamena”, zaczął lekturę pisma (wówczas, kiedy ja już je redagowałem) właśnie od materiałów lepszych, co nie znaczy, aby je w pełni aprobował.

Wspomniałem o zespole. Ten zespół, który mamy, jest ustabilizowany, są dziennikarze, którzy już od wielu lat na trwale związaali się z piśmie. Sądzę, że w tygodniku należy od nich więcej wymagać, zresztą i oni sami znajdują większe możliwości zaspokojenia swych publicystycznych ambicji. Zespół wystarczający na dwutygodnik nie będzie jednak w stanie na dłuższą metę redagować tygodnika. Dlatego też przyznano nam nowe etaty. W sumie — mam na myśli etaty dziennikarskie — jest ich pięć, w tym trzy dla publicystów. Jeden możemy zamienić na dwa etaty dla stażystów, stąd propozycja spotkań dziennikarskich, o której na tej stronie piszemy osobno.

W chwili, gdy kreślę te słowa, nie mogę podać do publicznej wiadomości, że wszystkie te etaty mamy już obsadzone. Owszem, prowadzimy rozmowy, szukamy kandydatów, ale nie jest to wcale takie łatwe. Dziś, po pewnej podwyżce honorariów, zwłaszcza w dziennikach, „Kamena” nie jest już zbyt atrakcyjna finansowo, będzie zresztą wychodzić raz, a nie sześć czy pięć razy w tygodniu; możliwości druku, a więc i zarobku, są u nas skromniejsze, a wymagania niekiedy wyższe. Nie zawsze jednak rzecz w samych pieniądzech, zwłaszcza, że zdolny dziennikarz może przecież drukować (za zgodą redaktora naczelnego macierzystej redakcji) i na innych lamach.

Oczywiście każde pismo ma swoich stałych współpracowników. „Kamena” nie jest tu wyjątkiem. Różnica między współpracownikiem a pracownikiem etatowym jest jednak dla klerownictwa pisma zasadnicza: temu drugiemu można zlecić określony temat, zwłaszcza temat aktualny, na zasadzie służbowego polecenia. Współpracownikowi nikt niczego nie poleci, poprosi się go jedynie i za skutek ręczyć nie jest się w stanie. Niemniej jednak mamy zamiar zwiększyć liczbę stałych współpracowników i to nie tylko wywodzących się z Lublina. Pewne kroki już podjęliśmy. Szczególnie liczymy na środowiska naukowe, zwłaszcza humanistyczne.

Kolejny problem: zasięg terytorialny „Kamena”. Pismo może być sprzedawane w całej Polsce, ale może nie znaczy, że jest. Otrzymujemy wiele listów, nawet z takich miejscowości jak Krosno, Stąporków czy Nowogard. Okazuje się, że ktoś był w Lublinie czy Zamościu, że ktoś nabył „Kamena” w Klubie MPIK w Warszawie i pismo go zainteresowało, stara się je później nabyć w rodzinnej miejscowości. Bezskutecznie. A przecież gdyby kioskarsz „Ruchu” chciał rzeczywiście pomóc zainteresowanemu, mógłby zamówić nawet jeden czy dwa egzemplarze „Kamena” w odpowiedniej placówce rejonowej, a ta z kolei w wojewódzkiej. Czy potencjalny klient o tym wie? Śmiem wątpić.

Analiza kolportażu wykazuje, że nasze pismo sprzedaje się głównie w Lublinie, województwie lubelskim, chełmskim, zamojskim i białskopodlaskim. Ponad jedna trzecia nakładu wędruje do kiosków samego Lublina. Liczba zwrotów nie może przekraczać 30 proc., a wynosi, według ostatnich danych, 18 proc. w stosunku rocznym. Nie jest to źle; na naradzie redaktorów naczelnych prasy społeczno-kulturalnej, która we wrześniu br. odbyła się w Bydgoszczy, mówiono o tym, że niektóre tego typu pisma mają 50—72 proc. zwrotów. Dla zainteresowanych tematem dodam, iż „Ruch” bierze za kolportaż każdego egzemplarza „Kamena” 2,70 zł, natomiast za egzemplarz nie sprzedany płaci wydawcy 5 zł. Zrozumiałe, że w tej sytuacji i on zainteresowany jest nakładem. Jeśli liczba sprzedanych w kioskach egzemplarzy spada, wówczas „Ruch” po-

Spotkania dziennikarskie SZUKAMY NOWYCH PIOR

Nie ogłaszamy żadnego konkursu, ale stwarzamy szansę dla ludzi młodych

absolwentów wyższych uczelni, studentów i maturzystów, którzy mają umiejętność pisania, którzy obdarzeni są zmysłem obserwacji, którzy poważnie podchodzą do życia.

Uważamy, że dziennikarstwa nikogo nie można nauczyć, ale można ludziom pomóc w rozwijaniu zdolności, dyskutować nad ich tekstami, wspierać się wzajemnie. Dwie osoby zdolne, legitymujące się dyplomem szkoły wyższej, będziemy mogli przyjąć nawet na staż redakcyjny.

Najpierw musimy się jednak poznać. Z tą myślą organizujemy

spotkania dziennikarskie

Czekamy na zgłoszenia. Prosimy wysłać pod adresem redakcji list, w którym znajdują się następujące dane: imię i nazwisko, adres, wiek, wykształcenie (ewent. miejsce pracy) lub kierunek studiów (z podaniem roku) kandydata. Dalsze szczegóły dotyczące zainteresowań bądź dotychczasowych osiągnięć twórczych — mile widziane. Do listów mogą być dołączone teksty — reportaże, artykuły na aktualne tematy, felietony, ale nie wiersze lub opowiadania.

Żaden list nie pozostanie bez odpowiedzi (bezpośredniej lub na lamach „Kamena”). Termin pierwszego spotkania ustalimy po analizie i skompletowaniu zgłoszeń, które mogą napływać z całej wschodniej Polski — od Suwałk po Sanok. Nie ukrywamy jednak, że najbardziej jesteśmy zainteresowani zgłoszeniami z Lubelszczyzny w jej dawnych granicach i z samego Lublina.

Nasz adres: Redakcja „Kamena”, 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

niekąd automatycznie zmniejsza zamówienia. Wydawca zmuszony jest zmniejszyć nakład. Odwrotnie jest, gdy sprzedaż pisma rośnie.

Oczywiście ambicją każdej redakcji jest, aby zwroty były jak najniższe, stąd zabieg o zjednywanie sobie Czytelników nawet kosztem poziomu pisma.

„Kamena” jako tygodnik nadal nie stanie się samowystarczalne, redakcja będzie jednak zmierzać do zmniejszenia dotacji, gotowi jesteśmy nawet zamieszczać ogłoszenia, pierwsze próby w tym kierunku były już czynione.

Wracając do samego kolportażu. Pragniemy szerzej wejść na rynek w innych województwach Polski wschodniej. Ta Polska wschodnia ma swoją specyfikę, charakterystyczne społeczności lokalne i swoje odrębności kulturowe w stosunku do reszty kraju. Nie chcielibyśmy zasklepić się jedynie w problematyce typowo lubelskiej. Stąd będziemy czynić próby pozyskania z tych rejonów zarówno nowych współpracowników jak i Czytelników. Każdą inicyjatywę w tej sprawie powitamy z radością.

Zwracając, jak dotąd, dużą uwagę na prace literackie, na debiuty, na teksty historyczne, na artykuły poświęcone problematyce kulturalnej i artystycznej w szerokim rozumieniu tego słowa, pragnęlibyśmy więcej miejsca poświęcić sprawom społecznym, być bliżej człowieka żyjącego tu i teraz, plętnować wszelkie przejawy zła, dygnitarstwa i soplepaństwa. Sygnałów naszych Czytelników w tej kwestii lekceważać nie będziemy. Zamierzamy reaktywować dawną rubrykę „Listy od Czytelników”, mamy też zamiar publikować więcej artykułów dyskusyjnych, aby pismo bardziej odzwierciedlało pluralistyczny charakter naszego społeczeństwa. Nie może być nam obca problematyka międzynarodowa — w zbyt ciekawych czasach żyjemy, ciekawych i groźnych, by ograniczać się tylko do spraw krajowych.

Tradycja „Kamena” przedwojennej była popularyzacją literatury naszych najbliższych sąsiadów. „Kamena” wychodząca w Lublinie, ma szczególne predyspozycje ku temu, aby podjąć ten temat. Być może uda się nam znaleźć nowych, zdolnych tłumaczy. Liczymy tu na pomoc prof. dr. Michała Lesiowa i pokazne grono jego byłych studentów.

Mamy nadzieję, że rysunek i fotografia staną się integralną częścią naszego pisma. Dotychczas, z uwagi na brak miejsca, zamieszczaliśmy zbyt mało prac artystycznych tego typu. Teraz powinno to ulec zmianie.

Od naszego wydawcy oczekujemy podjęcia starań o lepszy papier. „Tygodnik Zamojski” ma też 16 stron, ale kosztuje 10 złotych. „Kamena” będzie kosztować 15 zł. Niechże więc zdjecia wyglądają przyzwoicie, niechże bez trudu można na nich odróżnić, dajmy na to, rakieta od butelki z piwem.

Osobny problem to technika druku, układ czcionek, szata graficzna. Zamierzamy wprowadzić nową winiętu tytułową (nie organizujemy konkursu, ale graficzne propozycje Czytelników przyjmujemy z uwagą!), bardziej ujednolicić łamanie. Liczymy tu na pomoc towarzyszy sztuki drukarskiej i Lubelskich Zakładów Graficznych im. 22 Lipca. Tygodnik „Kamena” zacznie wychodzić w przeddzień 40-lecia owego pamiętnego 22 Lipca. To zobowiązuje!

Rozpisałem się, ale uważam, że przy tworzeniu tygodnika nie można nam się zamykać wewnątrz własnych redakcyjnych dyskusji. Zespół „Kamena” decyduje o zasadniczym kształcie pisma, ale o jego przyjęciu będą decydować sami Czytelnicy. Stąd mój końcowy apel: piszcie do nas, informujcie nas o Waszych oczekiwaniach, pragnieniach, sugestiach, a nawet o tym, jakie chcielibyście widzieć propozycje tematyczne w nowym tygodniku, który chciałby się zyszczyć nie tylko chlubną tradycją. Tradycją można żyć tylko w okresie jubileuszu, teraz czas na konkretne działania. Im więcej ludzi w tym pomoże, tym bliżej do sukcesu!

Mój notatnik znów nie jest typowy. Chciałoby się napisać i o Grenadzie, i o Libanie, i o obchodach 65-lecia odzyskania niepodległości Polski, podzielić się wrażeniami z odbioru telewizyjnego spotkania z małżonką generała Sosnkowskiego (ostatecznie nie na co dzień widuje się takie postacie), a także własnych przemyśleń na temat niefortunnej, acz ponoć koniecznej, decyzji o kolejnej reorganizacji tłumaczy i czekającej nas podwyżce cen artykułów żywnościowych. Nikomu z nas nie jest lekko, ale nad całym światem gromadzą się tak ciężkie chmury, że nasze problemy niekiedy przypominają wobec nich dymek z papierosa. Osobny to temat — w tygodniku będzie można nieraz wracać do niego...

M. A. Jaworski



„Rozpaliłem nowy ogień - ale tak to bywa ze słowami prawdy...”

TO ZDANIE wypowiedział Marcin Luter w niespełna rok po ogłoszeniu swoich słynnych polemicznych tez, w Wittenberdze 31 października 1517 r., w dniu uznanym przez historyków i teologów na oficjalne narodziny Reformacji.

Luter to jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci epoki — humanista skłócony z innymi czołowymi przedstawicielami tego okresu; duchowy inspirator — poprzez głoszone idee — postępowych, a nawet rewolucyjnych ruchów społecznych, sam do nich jednakże nastawiony krytycznie; teolog wojujący raczej, aniżeli tworzący traktaty w belki klasztornej; oświełek głoszący swe myśli w szeregu pism polemicznych, szeroko kolportowanych i czytanych przez szerokie masy odbiorców.

Urodzony przed 500 laty, 10 listopada 1483 r., w Eisleben w rodzinie górniczej, uczęszczał do szkoły łacińskiej w tymże mieście, a następnie w Magdeburgu i Eisenach, przygotowując się do studiów uniwersyteckich. Kontakt zarówno z krewnymi i znajomymi rodziców pochodzenia wiejskiego, jak i pomoc oraz gościna u kilku rodzin mieszczańskich w czasie pobytu w Magdeburgu, wywarły znaczący wpływ na rozwój osobowości późniejszego twórcy literackiego języka niemieckiego. Tutaj również zetknął się Luter z nowymi formami praktyk religijnych, nie znanymi mu w dzidzielnictwie. W kwietniu 1501 r. zostaje wpisany w poczet studentów założonego w 1392 r. uniwersytetu w bogatym mieście — ówczesnym ośrodku handlowym — Erfurcie, gdzie studiował najpierw siedem sztuk wyzwolonych, co było warunkiem przyjęcia na studia wyższe, kierunkowo: teologię, prawo lub medycynę. Już w 1502 r. uzy-

skuje Luter najniższy stopień akademicki — „baccalaureus in artibus”. W trzy lata później zostaje promowany na magistra sztuk wyzwolonych.

W salach wykładowych erfurckiej uczelni panował wówczas w scholastyce kierunek opierający się na systemie franciszkanina Wilhelma von Ockham i jego uczniów. W odróżnieniu od „via antiqua” zwolennicy tego kierunku głosili tzw. „via moderna”, czyli rozdział wiary od wiedzy, przy czym wartość nadrzędną stanowiła wiara. W dziedzinie badań naukowych kierunek ten stwarzał możliwości dla doświadczeń empirycznych i rozwoju nauk przyrodniczych. Marcin Luter, którego kolekcja, dla jego inteligencji i ciętego dowcipu, nazwali „filozofem”, miał również okazję zetknąć się z rozpowszechniającym się wówczas wśród niemieckiego mieszczaństwa humanizmem, z którego sławnymi reprezentantami utrzymywał później kontakty osobiste.

Osiągnięte wykształcenie i dobre widoki na przyszłość (ojciec zgadzał się, a nawet nakłaniał Martina do studiów prawniczych) nie pomogły jednakże młodemu magistratowi w pokonaniu krzyżu wewnętrznego i nie dostarczyły odpowiedzi na wiele dręczących go pytań. Poczucie zagrożenia i niepewności wzrosło się jeszcze pod wpływem śmierci przyjaciela w czasie szalejącej wiosną 1505 r. zarazy. 17 lipca zdobywa się Luter na ostateczną decyzję: puka do furty klasztornej augustynów, wybiera przy tym klasztor odznaczający się surowym przestrzeganiem reguły, co nie było częste w okresie ogólnego rozluźnienia życia klasztorowego. W klasztorze dowiadywa się Luter prawdy o walce i śmierci Jana Husa od mistrza nowicjatu, świętego Jana von Grefensteina, który dalece zresztą starał się wpływać na

złagodzenie rozterek wewnętrznych nowicjusza.

W 1506 r., po wygaśnięciu zarazy w mieście, Marcin Luter składa śluby zakonne i przygotowuje się do przyjęcia święceń kapłańskich na wiosnę 1507 r. Fakt uzyskania tychże święceń przez syna przekonał wreszcie Hansa Lutra — do tego nawet słopnia, iż wydał na przyjęcie z tej okazji, według słów samego Marcina, aż 20 guldenów, co stanowiło kosztą całorocznego utrzymania jednego studenta. W 1508 r. zawiązuje się pierwsze kontakty Marcina z miastem, które miało stać się miejscem jego ożywionej działalności — z Wittenberga, gdzie w cztery lata później uzyskuje doktorat teologii i zostaje profesorem tamtejszego uniwersytetu.

Wzrastająca na przełomie XV i XVI wieku władza i bogactwo Kościoła w Niemczech, podział duchowieństwa na bogatych dostojników oraz ubogich duszpasterzy, głodujących i cierpiących w duchu Ewangelii wraz z ludem, wzrost sił mieszczaństwa rywalizującego z duchownymi o przywileje oraz postawa książy obawiających się wpływów zwierzchności kościelnej w swych krajach — wszystkie te zjawiska sprzyjały utworzeniu w Niemczech szerokiego frontu antyrzymskiego, o czym nie miał początkowo pojęcia szukający za murami klasztornej spokoju późniejszy polemista Luter.

Rozczarowanie czysto prawnymi i formalnymi, unikającymi radykalnych reform, rozstrzygnięciami zakończonego 16 marca 1517 roku V Soboru Laterańskiego, polityczne zaangażowanie biskupów jako książy świeckich oraz szerzące się drastyczne formy handlu odpustami skłoniły ostatecznie Lutra do podjęcia działań zmierzających do unocznienia wiernym i hierarchii kościelnej konieczności poprawy sy-

tuacji. Ostatecznie doprowadziło to — po przesłuchaniu Lutra w 1518 r. w Augsburgu i podczas uniwersyteckiej dysputy teologicznej w Lipsku (ze słynnym doktorem Eckiem) — do objęcia Lutra ekskomuniką. Po odmownym wycofaniu swych uznanych za hereetyckie twierdzeń i też na sejmie w Worms, Luter został zmuszony szukać schronienia u Fryderyka Mądrego, pana na Wartburgu.

W okresie tym Luter występuje już zarówno przeciwko rewolucyjnej działalności związku rycerzy pod wodzą Ulricha von Huttena, jak i potępia powstańcze ruchy chłopskie w 1525 r.

Malżeństwo ze zbiegłą z klasztoru cystersek zakonnicą, zubożoną szlachcianką Katarzyną von Bora, zaszkodziło nawet przyjaźni Lutra i osłabiło chwilowo jego popularność. Nastąpiło ochłodzenie stosunków ze Zwinglim i z Erazmem z Rotterdamu. Ostatnie dwadzieścia lat swego życia poświęcił Luter rozbudowie Kościoła ewangelickiego. Zmarły 18 lutego 1546 r. w Eisleben, został pochowany w kościele zamkowym w Wittenberdze.

Studia pism mistyczno-spekulatywnych Jana Taulera oraz reformatorsko-narodowych Jana Husa pomogły Lutrowi w nowym ujęciu istoty chrześcijaństwa; nader istotne było tu dążenie do realizacji idei kościoła narodowego oraz zakwestionowanie dogmatu o nieomyślności papieża. Pozostawał Luter również pod silnym wpływem antypapieskich pism humanistów (U. Huttena) oraz rozpraw Erazma z Rotterdamu. W adresowanych do szerokiego mas społeczeństwa pismach polemicznych: „O papieżstwie w Rzymie” (1520) i „Do chrześcijańskiej szlachty narodu niemieckiego” porusza Luter zagadnienia natury politycznej i religijnej, bulwersujące wówczas naród niemiecki w jego wszystkich warstwach społecznych.

Mieszczaństwo i chłopci szukali u Lutra broni ideologicznej przeciwko więzom systemu feudalnego, księżęta oczekiwali od Reformacji poparcia dla swych partykularystycznych dążeń i osłabienia władzy centralnej w Niemczech przez stworzenie odrębnych kościołów krajowych. Odpowiadając na potrzeby wyznawców stworzonego przez siebie kościoła narodowego, Luter dokonał epokowego dla rozwoju literackiego języka niemieckiego dzieła — tłumacząc na język ojczysty Stary i Nowy Testament i stając się przez to twórcą tzw. „Luther-Deutsch”, z którego bogactwa czerpały rzesze współczesnych Lutrowi i potomnych, dzięki czemu postać Marcina Lutera na zawsze weszła do grona zasłużonych dla myśli i kultury europejskiej.

Bożena Kowalowa

W „SZTANDARZE LUDU” z 28 października br. ukazał się wywiad Franciszka Piątkowskiego z Andrzejem Mroczkiem. Wywiadowca jest dziennikarzem o tzw. szerokiach zainteresowaniach kulturalnych: chodzi do teatru, na wystawy plastyczne, do kina, odwiedza muzea i czyta książki, no i oczywiście posiada własne zdanie na każdy temat, które wyraża dobitnie w swych licznych artykułach. Natomiast Andrzej Mroczek piastuje urząd dyrektora Biura Wystaw Artystycznych w Lublinie i jako funkcjonariusz państwowy także posiada własne zdania, które znajduje swój wyraz w programie kierowanej przez siebie placówki. Rozmowa takich ludzi zdaje się obiecywać słuchaczowi niemałe satysfakcje poznawcze i dramaturgiczne.

Przy pierwszej lekturze wspomnianego wywiadu nie czujemy się zawiedzeni. Piątkowski tańczy wokół partnera jak stary wyga ringowy, drażni

samymi krodkami, możliwościami ujawniania myśli twórczej (...).

Jeszcze więcej emocji dostarcza sytuacja, w której Piątkowski zgłasza zastrzeżenia do do głębi intelektualnej wystąpienia Jana Świdzińskiego, który na okazanej plansey, wystawionej swego czasu w BWA, utrwalił własne konsekwencje teoriopoznawcze „myślenia o Heideggerze”. Ale tego już było za wiele dla Mroczka: „Proszę pana: żeby ocenić tę konkretną realizację Świdzińskiego, trzeba „zobaczyć ją” w związku z innymi dokonaniami tego wprawy i jego przemysleniami. Trzeba też wiedzieć, co to jest „sztuka serowa”, bo w tym przypadku Świdziński jest jej bardzo bliski, i co to jest sztuka kontekstualna”. Na to Piątkowski, trochę przekorny, trochę już jakby przestraszony: „A gdybym nie wiedział?” Tak, to był fatalny błąd taktyczny ze strony dziennikarza, który zapominał, że w środowisku tzw. awangardy trzeba przynajmniej udawać, że wie się wszystko. Jego partner z cinną krwią wykorzystał ten moment słabości wywiadowcy, mówiąc krótko: „Pańska strata. Nigdy tak nie było przeoczeń, że sztuka była dla wszystkich, nawet dla tych najbardziej leniwych”, i na tym właściwie niecz się zakończył, choć panowie wymienili jeszcze kilka opinii.

kontrowersji to letnia zupa, ale w gruncie rzeczy przyjął skalę wartości reprezentowaną przez swojego rozmówcę. Można powiedzieć, jego sprawa, sprawa jego przekonania lub warsztatu publicysty. Można, ale moim zdaniem nie jest rzeczą poważną przynikiwanie oczu na realny kształt sztuki polskiej podczas rozmowy o działalności placówki powołanej do prezentowania całej złożoności naszej kultury.

W wywiadzie pojawiają się terminy: „awangarda”, „spółność nowa”, „mniej awangardowe” — nieodmiennie w kontekście faktów stworzonych przez lubelskie BWA, a więc w płaszczyźnie mitotworczej i zarazem gloryfikującej program instytucji. Nie mam już cierpliwości, by po raz kolejny z rzędu wdoświadczać, że awangarda to pojęcie historyczne, a nowość nie stanowi już żadnego kryterium wartościowania obiektów sztuki. Postuchajmy lepiej, co na ten temat miał do powiedzenia Witold Gombrowicz, który w jednym z tomów swojego „Dziennika” ośmielił się stwierdzić: „... awangarda polska była nieuchronna,

TAKA JEST SZTUKA, JAKIE SĄ WYSTAWY?

ga lewym prostym (pyłaniem), by zaraz potem huknąć prawym sierpowym, poprawiając uderzenie serią mało efektownych, ale skutecznych ciosów w spłot słoneczny. Kiedy więc Mroczek na pierwsze miejsce swojej sezonowej (chodzi o kalendarz) działalności winduje czerwcowe sympozjum „Zapiski”, ozdobione spontaniczną zgodą Zbigniewa Warpechowskiego na oddanie Bogu ducha przy pomocy punktów, angielszczyzną Krzysztofa Kieplki i psycho-moralną ekshibicją Jerzego Trutkowskiego, kiedy następnie dyrektor oddaje się ogólniejszej refleksji historycznej, mówiąc: „O ile w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych notowaliśmy cały szereg tendencji artystycznych, która zdawały się być zafascynowane własnościami czysto medialnymi...” — w tym momencie dziennikarz łapie swojego teta-a-teta w narożnika i przytrzymuje pytaniem: „Co to znaczy: medialnymi?”, my zaś, to znaczy widownia wstajemy z miejsc, by lepiej widzieć zekapirowską scenę, albowiem nie bardziej dramatycznego i trudnego na tym świecie, jak odpowiedź na proste pytanie. Ale Mroczek to przecież rutyniarz: wpada w kliniec, byle przetrzymać, i rzece: „...no,

Fajny wywiad: swawoty w narracji i dramaturgii, nie pozbawiony śpięć polemicznych i dający wyobrażenie o tym, co dzieje się w BWA i co myśli szef instytucji o sprawach sztuki. Do takiego wniosku dochodzi się jednak tylko po pierwszym czytaniu owego tekstu. Bo jeśli spojrzymy nań nieco bliżej — oczywiście, rozmowa Piątkowskiego z Mroczkiem to coś w rodzaju walki pozorowanej: dziennikarz udaje, że naciera, dyrektor zaś udaje, że bierze te jego ataki na serio. Słowem: jeszcze jedna próba mitologizacji programu, jaki od 1981 roku konsekwentnie realizuje BWA, jedyna, odpowiedzialna wyposażona placówka wystawiennicza w Lublinie. Dowody? Tymczasem tylko tak: cała rozmowa obu panów koncentrowała się wokół tzw. innych mediów, autorzywanym m.in. przez ludzi, których regularnie eksponuje nasza(?) BWA. Owszem Piątkowski miał zastrzeżenia, wątpliwości co do wybranych pokazów i manifestacji, ale słowem nie zajmował się na temat faktycznej stratyfikacji polskiej sztuki współczesnej, w której przecież owe „media” zajmują wąski teren. Lekko „tykał” dyrektora Mroczka, bo jako dziennikarski Jachman orientuje się, że wywiad bez

rozważań, boś, byle pokraść z ploną rabina, z bony-mi nogami wiejskiego chłopca. Była to wapańka, glicha prowincja, która, rozspazrona własną prowincjonalnością, zawiązała stowiać się z Paryżem, Londynem. To granatami stłosne z rabinośmi zakurczonyś, azoterynyś i soliferynyś oraz o nutowych, plowych tepeytnyś spod Kłato, Lublina czy Łowosia, odnaczało się święte natorościs. Serwowym faantyzmem, konsekwentnym uporem. (...) Włkzarodź pozbawiona była tego minimum sprawności wystawowej, bez którego planie staja się niemożliwe; kadolenc, dekadenc, marcyoleis, niedouczenc, niedouczenc — ponure teory ghest polskich, obywatelo polskiej zapadłej dzlury, wolekact od własnej biedy w dlanne prakursorstwo; to było znużenie wybaulowania...”

Liderzy współczesnej „neoawangardy” plastycznej wirując zapewnie na lekturze tych zdań, że Gombrowicz miał na wstępie międzywojenną awangardę literacką, a przecież czasy mamy inne, performansy czy kontekstualizm to nie poezja lub proza. I jak zwykle będą mieli rację oraz dobre samopoczucie.

Ireneusz J. Kamiński

22 października br. odbyło się w Lublinie, w starannie odrestaurowanym dworze na Bieleszczyźnie, krajowe seminarium „Problemy organizacyjne związane z ochroną zabytków motoryzacji”, urządzone przez miejscowy oddział Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa oraz Automobilklub Lubelski. Na spotkanie przybyło kilkadziesiąt osób (głównie z Poznania, Krakowa, Warszawy i Lublina), które od lat — spontanicznie, con amore — działają na rzecz ochrony starych samochodów i motocykli, urządzają rajdy i pokazy „weteranów”, kompletują kolekcje takich pojazdów (Jan Peda w Gostyninie; w skromniejszym zakresie — Jan Milczek w Motyczu) lub inicjują placówki muzealne o charakterze społeczno-prywatnym (Izba Pamiątek Dawnej Motoryzacji w Suchym Lesie, złożona z eksponatów będących własnością członków Klubu Samochodów Zabytkowych przy Automobilklubie Wielkopolskim). Szczególnie honorowym gościem seminarium był 80-letni Jan Ripper z Zakopanego; słynny w międzywojniu i czynny jeszcze po roku 1945 kierowca wyścigowy i rajdowy, wielokrotny mistrz Polski.

Imprezie towarzyszyła niewielka, lecz efektowna wystawa „weteranów” (wzruszający był ten angielski „Norton”), która urozmaicał prototyp naszego nowego żuka. Wyświetlono też kilka stosownych filmów, w tym przedwojenne. Podstawą żywej dyskusji na seminarium okazał się referat mgr. Mieczysława Kurzątkowskiego: „Ruch miłośników „weteranów szos” jako szczególna forma kolekcjonerstwa i ochrony zabytków”, którego obszerny fragment publikujemy niżej.

Różne kwestie ochrony starych samochodów i zasoby tych pojazdów w Wielkopolsce, Krakowskim, Lubelskim i w Warszawie przedstawił w kolejności: inż. Witold Rybczyński, inż. Karol Ligęza, inż. Jan Milczek i mgr inż. Marek Paul. W przekonaniu, że historyczne obiekty motoryzacji są charakterystycznymi świadectwami cywilizacji i kultury XX wieku, krótko mówiąc — są zabytkami jak każde inne dokumenty ludzkiej tradycji; że najbardziej skuteczną i powszechną formą ich ochrony jest społeczny ruch opiekunów zabytków motoryzacji, tożsamy z klubami samochodów zabytkowych przy automobilklubach — uczestnicy seminarium przyjęli uchwałę, której zasadnicze stwierdzenia i postulaty zaadresowano do: generalnego konserwatora zabytków w MKiS, ministra komunikacji, dyrektora naczelnego PZU, ministra finansów.

Spełnienie tych, rzeczowych i wcale nie wygórowanych postulatów, dotyczących spraw prawno-organizacyjnych i finansowych ruchu miłośników „weteranów szos”, mogłoby wreszcie, także naszym zdaniem, otworzyć rozsądne perspektywy przed kolekcjonerstwem starych samochodów i unormować cały problem zachowania tego dziedzictwa kulturowego, niszczonego w niepokojącym tempie — również dlatego, że ustawa o ochronie zabytków z 1962 roku chroni tylko, w sferze techniki, obiekty unikatowe lub związane z ważnymi etapami postępu technicznego.

Seminarium lubelskie po raz pierwszy w Polsce tak dobitnie postawiło kwestię „weteranów szos” jako zabytków kultury XX wieku.

(K)

Piękne stare samochody

Mieczysław Kurzątkowski

W SRÓD zabytków techniki największe zainteresowanie wzbudzają środki transportu. Promieniują z nich nastroje podróży i emocje pokonywania przestrzeni. Są maszynami, ale przyobleczone w obudowę odzwierciedlającą współczesne lub wyobrażenie o kształcie funkcjonalnym i najlepiej wyrażającym ich walory: moc, prędkość, komfort, odporność.

Wśród wszystkiego, co stworzono w

tystycznych, żeby wymienić zrodzony z romantycznej fascynacji pociągami obraz „Szybkość, para i deszcz” Josepha M. W. Turnera, symfoniczną apoteozę lokomotywy w utworze „Pacific 231” Artura Honeggera humanistyczne treści pisarstwa lotnika Antoine’a de Saint-Exupéry’ego, przejmującą rzeźbę Oliviera Brice’a wyobrażającą samochód okryty całunem — pomnik nagrobny kierowcy wyścigowego Françoisa Ceverta,

dotychczas z jego pullmanami, sleepingiem i wagonem restauracyjnym. Sposoby podróżowania, które straciły dawne znaczenie, wstępują w sferę romantycznych mitów o dawnych „lepszych czasach”.

Dla Honoriusza Balzaka istniały trzy ideały piękna: kobieta w tańcu, koń pełnej krwi na swobodzie, fregata pod żaglami. Ten trzeci ideał w dobie cywilizacji przemysłowej znalazł konkurentów. Można by się spierać, czy

dużych miastach były przez długie lata celem spacerów i meżaszosnych towarzyskich spotkań. Działalność traktowana są lotniska, nawiedzane przez wycieczki i ludzi spragnionych przyjemniejszej znajomości się w ich podniecającej atmosferze. Kawiarniane tarasy pozwalają zapatrzyć się na ruch pojazdów i na tym w znacznej mierze polega ich urok. Spektakle kreowane przez środki lokomocji urzekają niezmiernie i nie nudzą, choć jesteśmy od dziecka ich widzami.

Fascynacja kształtem środków transportu, ich ruchem i dźwiękiem, legendami i mitami ich historii, nastrojem podróży lub współzawodnictwa, jaki się z nimi kojarzy, jest na równi z pasjonowaniem się techniką źródłem zainteresowania „weteranami lokomocji”. Ze szczególną siłą narasta ono i rozprzestrzenia się od lat sześćdziesiątych naszego wieku. Splot różnorodnych okoliczności sprawił, że nastąpiło to właśnie w minionym dwudziestoleciu. Postęp techniczny spowodował szereg radykalnych zmian w dziedzinie transportu i sposobach podróżowania. Trakcja elektryczna i spalinowa skazała na wymarcie parowozu. Komunikacja lotnicza zabrała pasażerów transatlantykami i zdegradowała międzynarodowe ekspresy. Także rozwój motoryzacji indywidualnej pomniejszył prestiż kolei. Jak zwykle, tego rodzaju procesom towarzyszy budzący się sentyment do zjawisk przemijających bezpowrotnie, uświadamiających schyłek pewnej epoki.

W porównaniu z coraz bardziej syntetycznymi, a zarazem coraz mniej indywidualizowanymi kształtami dzisiejszych środków komunikacji, każdy dawny samochód, statek, parowóz czytelniej uzewnętrznia swą techniczną strukturę, a także zdaje się być obdarzony osobowością. Stary silnik przestał być traktowany jako archaizm na maszynę, zasługującą na politowanie lub pobłażliwość, budzi rzeczowe zainteresowanie, nierzadko podziw, a czasem wręcz zachwyty.

Gwałtowne ożywienie ruchu miłośników „weteranów komunikacji” w latach sześćdziesiątych nastąpiło w tym samym czasie, co rozbudzenie zainteresowań pierwszą połową XX wieku połączone z odkryciem uroków secesji, „art deco” i „stylu” wystawy paryskiej 1937, z modą „retro”, z mitologizacją „pięknej epoki” i „szalonych lat dwudziestych”, z oczarowaniem ich rekwizytami, wśród których samochód, pociąg, parowiec zajmują pierwsze miejsce.

Fascynacja „weteranami lokomocji” przejawia się w poważnych zainteresowaniach i przedsięwzięciach, w wyszukanych i popularnych kolekcjonerskich namietnościach, wykorzystywana jest też masowo w celach komercyjnych. Zaowocowała opracowaniami historycznymi, wydawnictwami encyklopedycznymi, monograficznymi, dokumentacyjnymi i albumowymi, masowymi edycjami popularnymi, niezliczonymi artykułami w periodykach. Tematyka komunikacyjna wkroczyła do tradycyjnych form kolekcjonerstwa, na znaczki pocztowe, etykiety, przeznaczone dla hobbistów obrazki na opakowaniach; animowała też nowe formy zbieractwa: modele w skali, reprinty reklam samochodów, plakatów biur podróży itp. Wizerunki aeroplanów, autobusów, parowozów wykorzystywane są jako motywy dekoracyjne tkaniny, abażury, naczynia... Nastąpił też zalew tandentnego pamiątkarstwa oraz kiepowatych druków i kalkomanii na różnorodnych wyrobach galanterijnych. Najważniejsze jest jednak, że zainteresowania zwróciły się też ku autentynom, przybrały konkretne formy ratowania dawnych środków komunikacji przed zniszczeniem.

Należy wspomnieć, że jest to przejawem szerszego zjawiska określanego jako „archeologia przemysłowa”, obejmującego całość dóbr mających na celu ochronę wszelkich wartościowych obiektów z dziedziny techniki i przemysłu. Działania te polegają między innymi na reaktivowaniu — już jako zabytkowych i kursujących dla celów dydaktycznych i rekreacyjnych — odciśniętych linii kolejowych lub tramwajowych, które przeznaczony były do kasacji, na tworzeniu w nieczynnych sektorach portów muzeów z wycofanymi z flegugi statkami, na urządzaniu muzeów przemysłowych.

Wszystkie te przedsięwzięcia są bardzo kosztowne, wymagają dużego nakładu pracy całych zespołów ludzi znających się na rzeczy oraz warunków pozwalających na przejęcie pokątnego, technicznie zagospodarowanego terenu. Dlatego mogą im podoleć tylko instytucje państwowe lub samorządowe czy też specjalnie w tym celu utworzone fundacje. W licznych wypadkach, szczególnie w Wielkiej Bry-



Fot. Jacek Mirosław

dobie cywilizacji przemysłowej, nie wylaczając dzieł sztuki, architektura lokomotywy, wagonu statku, auta, samolotu cechuje się pięknem najbardziej sugestywnym, kształtem zdolnym wzbudzać zachwyty, podziw, lęk, nostalgię, podniecenie. Magia ruchu, misterium panowania nad maszyną oraz świadomość niebezpieczeństw związanych z pokonywaniem czasu i przestąpieniem stali się źródłami inspiracji ar-

W naszych czasach podróżowanie jest nie tylko koniecznością, ale i namiętnością. Cenimy oszczędzającą czas i niewygody możliwość coraz szybszego przemieszczania się i chętnie z niej korzystamy. Jesteśmy zadowoleni, mogąc w ciągu paru godzin znaleźć się w miejscu odległym o tysiąc kilometrów — nie odczuwając przebytego dystansu. Ale też jednocześnie tywnymi przeświadczeniem, że pokolenia naszych ojców i dziadków wojażowały przyjemnie i wykwintnie. Korzystamy z dobrodziejstwa samolotu, lecz z nostalgią myślimy o transatlantyku z jego rytuałem i rekreacyjnym nastrojem lub o wielkim ekspresie międzyna-

jest to odkryty kabriolet na wielkomiastowej avenue, odrywająca się od pasa startowego Caravelle, aerodynamiczna lokomotywa na szlaku, czy majestatycznie podążający transatlantyk?

Środki komunikacji zawsze wnosily w życie codzienne element plebejskiego widowiska. Odwieczny jest obyczaj asystowania ludności miast nadmorskich podczas przybijania i odpływania statku. Przejazd drogą podróży karety czy odprawa dyżurnu przed zajazdem pocztowym dostarczały atrakcji w monotonnej codzienności odległej prowincji. Stacje kolejowe w nie-

tanii, ochrona zabytków techniki jest dziełem organizacji społecznych, szczególnie w tym celu zawiązanych, których członkowie-hobbisci sami wykonują prace związane z konserwacją i eksploatacją.

Samochód (i motocykl) jest tego rodzaju „weteranem lokomocji”, który można mieć na własność, nie będąc człowiekiem szczególnie majątnym, który można indywidualnym staraniem poddać renowacji i utrzymywać. Przy intuicji kolekcjonera i pewnej dozie szczęścia można jeszcze w wielu krajach niewielkim kosztem wejść w posiadanie wozu nie tylko pochodzącego z „wielkiej serii”, ale też rzadkiego auta kategorii „veteran” (1905–1918) lub wysokiej klasy pojazdu z okresu „vintage” (1919–1945). Jego odrestaurowanie wymaga niemałego zachodu, ale efektem jest możliwość radowania się i szczytowania posiadaniem prawdziwego rarytasu antykwarskiego.

Początki zainteresowań dawnymi samochodami, przestarzałymi w porównaniu z aktualnie wyrabianymi, przypadają na lata międzywojenne. Auto wkroczyło wówczas w okres dojrzałości, a pojazdy sprzed „wielkiej wojny” znikały stopniowo z ulic i dróg. Kryształowało się poczucie wszechstronnej ewolucji, jaka dokonała się od czasów powozów bez koni, a każdy pański salon w latach dwudziestych był dla sprawodawców okazją do porównywania danych technicznych nowości z ich przodkami z początku stulecia. Jeszcze w sile wieku byli wówczas ludzie obecni w pionierskich latach automobilizmu, a wśród nich ci, których dojrzałe życie związane było z całą dotychczasową historią motoryzacji. Żyli jeszcze Karl Benz (zm. 1929) i Henry Ford (zm. 1947).

Rodziła się świadomość potrzeby dokumentowania autentykami historii samochodu, rozpoczynało się gromadzenie „weteranów szos”. Jednym powodowała kolekcjonerska pasja, dla innych było to środkiem afirmacji własnej osoby. Henry i Ford, mający poczucie współtwórcy cywilizacji amerykańskiej i uważający się za człowieka nr 1 amerykańskiej motoryzacji, dbał nie tylko o udokumentowanie własnych osiągnięć. Kolekcjonował samochody znanych postaci, nie wyłączając swych konkurentów (np. samochód osobisty Waltera P. Chryslera). Na lata międzywojenne przypadają początki szeregu dzisiejszych wielkich muzeów samochodów.

Przy okazji różnych uroczystości organizowano parady pojazdów obrazujących historię samochodu, z udziałem ludzi, którzy tę historię tworzyli. W 1925 r., w XXV rocznicę utworzenia automobilklubu w Monachium, w korowodzie uczestniczył „papa” Benz w swej „Victorii” kierowanej przez syna, Eugeniusza, a August Horch osobiście prowadził swój Audi „Alpensieger” z 1914 r. Podczas parady w czasie obchodów 800-lecia miasta Zwickau w 1935 r., Auto-Union zaprezentował oprócz aktualnie produkowanych modeli również wozy stare, obrazujące genealogię tego niedawno utworzonego koncernu.

Genezy dzisiejszego masowego ruchu miłośników „weteranów szos” — choć miał on pierwotnie charakter elitarny — należy szukać też w okresie międzywojennym, w Wielkiej Brytanii. Zapoczątkowali go ludzie bardzo zamożni, którzy — powodowani sentymentem dla tradycji — nabywając nowy samochód nie pozbywali się dotychczas użytkowanego auta. Zrzesza-

jąc się w specjalnych organizacjach klubowych (Veteran Car Club), stworzyli oni warunki wykorzystania dla towarzyskiej rywalizacji swych wysłużonych, lecz nienagannie utrzymywanych pojazdów. Działalność tych klubów, zarządzane przez nie imprezy przekonywały o satysfakcjach i uciechach, jakich może dostarczyć przestarzały samochód, przyciągały coraz liczniejszych członków.

Drugą formą organizacyjną sprzyjającą pielęgnacji „weteranów” były kluby skupiające posiadaczy aut jednej marki, jak np. Bentley O. C., uwzględniające w regulaminach wyścigów, rajdów i konkursów elegancji rywalizację wozów o zróżnicowanym wieku.

Zamilowanie do starych aut było długo uważane za atrybut stylu życia angielskich sfer wyższych, za jeszcze jeden przejaw konserwatywnych upodobań „wyspiarzy”. Rozprzestrzenienie się ruchu amatorów „weteranów szos” na kontynencie europejskim nastąpiło w latach sześćdziesiątych i nie miało już charakteru ekskluzywnego.

W Polsce zwrócono uwagę na atrakcyjność licznych jeszcze starych samochodów w 1961 r. Wtedy to Automobilklub w Katowicach zorganizował I Ogólnopolski Zjazd Weteranów Motoryzacji, a z inicjatywy Automobilklubu Krakowskiego i redakcji „Echa Krakowa” odbyła się Wielka Parada Samochodów. Posiadacze wehikulów zaprezentowanych na obydwu imprezach nie byli jeszcze wielbicielami historycznych samochodów, kochali swe graty z konieczności, ponieważ zastępowały im trudno dostępne nowe wozy. Były to pierwsze lata importu samochodów dla prywatnych odbiorców i pierwsze lata produkcji syreny. Wśród zmotoryzowanych Polaków przeważali właściciele aut przedwojennych, nierzadko liczących więcej niż 30 lat.

Dopiero około 1970 r., gdy zdrożone pojazdy stawały się coraz rzadszymi okazami, gdy za kierownicą syren, wartburgów, trabantów, „embuszek” i „dużych” fiatów zasiadło pokolenie nie znające zapalania silnika korbą i jazdy kabrioletem, stary samochód przestoczył się w obiekt pożądania i troskliwych starań amatorów historycznej techniki.

Ruch miłośników „weteranów szos”, zrzeszonych w sekcjach zabytkowych samochodów przy automobilklubach, jest dziś czymś więcej niż hobby majsterkowiczów i zabawa w stylu retro. Stał się spontaniczną formą społecznej opieki nad zabytkami i nową dziedziną kolekcjonerstwa. Zbiór Jana Pedy w Gostyniu liczy dziesięć aut, a wśród nich znajduje się najstarszy pojazd motorowy, który — wprawdzie bardzo rzadko — wyjeżdża na polskie drogi: Lorraine-Dietrich z 1913 r. Pierwsze w Polsce muzeum motoryzacji, otwarte przed kilkoma miesiącami, też jest placówką społeczną. Osobliwe to muzeum. Nie ma własnych zbiorów, lecz prezentuje eksponaty będące własnością członków wielkopolskiego Klubu Zabytkowych Samochodów. A gdy nadarzy się stosowna okazja, eksponaty wyjeżdżają na ulice i szosy.

Wydobyte ze zbiorów złomu, rupieciarni, zarośli, wykupione od ludzi, u których dopełniła się ich służba, zawrócone z przeznaczoną im drogą do pieców hutniczych, przywrócone do pełni sprawności i piękna, stare samochody rywalizują ze sobą w rajdach i konkursach elegancji. Piękna starość.

50 lat „Kamenny”

Drukujemy dalsze depeche i listy, które nadeszły pod adresem zespołu „Kamenny”, bądź jej redaktora naczelnego w związku z 50-leciem pisma.

Z okazji Jubileuszu 50-lecia działalności Waszego pisma, tak zasłużonego dla rozwoju kultury narodowej, przesyłam Panu i całemu zespołowi Redakcji najserdeczniejsze życzenia dalszej owocnej pracy oraz sukcesów i wszelkiej pomyślności.

Przewodniczący Narodowej Rady Kultury
Prof. dr Bogdan Suchodolski

Proszę przyjąć dużo najlepszych życzeń dla Zespołu Redakcyjnego i Pana osobiście oraz dla samej „Kamenny” z okazji jej pięćdziesięciolecia. Czynniki to nie bez wzruszenia, pamiętając, że narodziła się ona z inicjatywy niezapomnianego Ojca Pana, którym był młodym człowiekiem. Serdecznie Pana pozdrawiam.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Z okazji pięćdziesięciolecia dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Kamena” składam Wam, a za Waszym pośrednictwem całemu Zespołowi Redakcyjnemu i wszystkim pracownikom pisma serdeczne gratulacje. Aktywne uczestnictwo „Kamenny” w życiu kulturalnym, literackim i społeczno-politycznym wschodniego regionu Polski oraz umiejętność trafnego traktowania zjawisk społeczno-kulturalnych może być powodem do dumy z dobrze spełnionego obowiązku. Trud i wysiłek pracowników Waszego Zespołu jest w pełni doceniany i spotyka się z uznaniem kierownictwa polityczno-administracyjnego i społeczeństwa naszego województwa.

Gratulując Wam dotychczasowego dorobku, życzę dalszych osiągnięć w kształtowaniu socjalistycznych ideałów oraz szczęścia i pomyślności w życiu osobistym.

Czesław Staszczak

I sekretarz KW PZPR w Białej Podlaskiej

Z okazji Jubileuszu 50-lecia twórczej obecności Waszego pisma na publicystycznej mapie Lubelszczyzny i kraju przekazuję w imieniu Prezydium Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Lublinie dla całego Zespołu Redakcyjnego życzenia wielu sukcesów w pracy zawodowej i w życiu osobistym.

Oby dalsza działalność przyniosła Wam wiele satysfakcji z kształtowania społeczno-politycznych i kulturalnych postaw licznych rzesz czytelników.

Z ludowym pozdrowieniem

Walerian Czurak

Sekretarz WK ZSL

Z okazji Jubileuszu 50-lecia dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Kamena” przyjmuję od Komitetu Miejskiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Lublinie wyrazy uznania, serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia.

Redagowany przez Was dwutygodnik szeroko popularyzuje dorobek naszego kraju, regionu i miasta. Ukazuje też w sposób zaangażowany i odważny wiele problemów nurtujących nasze społeczeństwo. Wnosi swój wkład w rozwój życia kulturalnego w całym naszym regionie.

Wasz wysoki poziom dziennikarski, upowszechnianie spraw i problemów miasta, stała więź z czytelnikami zyskały uznanie wszystkich mieszkańców Lublina.

Podziękuję za dotychczasową ofiarną działalność jeszcze raz życzę całemu Zespołowi Redakcyjnemu w imieniu miejskiej instancji partyjnej oraz własnym dalszych sukcesów i osiągnięć w trudnej i odpowiedzialnej pracy oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Andrzej Męciński

I sekretarz KM PZPR w Lublinie

Z okazji 50-lecia Waszego czasopisma „Kamena” pragnę złożyć Wam moje najserdeczniejsze gratulacje. Równocześnie życzę Wam oraz wszystkim członkom Zespołu Redakcyjnego dużo zdrowia, sił twórczych oraz dalszych sukcesów w Waszej odpowiedzialnej pracy.

G. Tönies

Attaché kulturalny Ambasady NRD

Droży Przyjaciele! Gratulujemy Wam prześwietnego, niespotykanego na kulturalnej mapie Polski jubileuszu 50-lecia Waszego czasopisma. Mimo wieku przedświatnego wspieracie nadal już na łamach tygodnika z młodzieńczą pasją i energią wszelkie godne poparcia inicjatywy naszych środowisk twórczych i naukowych. Podążacie w sukurs nadziejemy Waszych Czytelników na lepsze jutro. Redaktorowi Naczelnemu i Zespołowi „Kamenny” życzymy dotrwania do stulecia pisma w zdrowiu i wszelkiej pomyślności zawodowej oraz osobistej.

Dyrekcja i załoga Wydawnictwa Lubelskiego

Najlepsze życzenia z okazji Jubileuszu 50-lecia „Kamenny”, dalszych sukcesów w pracy i życiu osobistym.

Z/O SD PRL w Lublinie

W imieniu Zespołu „Odgłosów” i naszych Czytelników przesyłamy Zespołowi „Kamenny” życzenia kolejnych 100 lat, znakomitych autorów i rosnącego nakładu.

Lucjusz Włodkowski

Proszę przyjąć najlepsze gratulacje z okazji Jubileuszu 50-lecia „Kamenny”, pisma tak wielce zasłużonego dla polskiej kultury. Do gratulacji łączę także życzenia dalszego pomyślnego rozwoju jeszcze dwutygodnika, a niebawem już tygodnika. Panu, Szanowny Redaktorze Naczelny, i całemu Zespołowi Redakcyjnemu życzę pomyślności i satysfakcji z pracy i działalności w wielkim poczynaniu w upowszechnianiu i kultywowaniu pięknych tradycji kulturalnych naszego narodu.

Albin Koprukowniak

Z okazji pięknego Jubileuszu Waszego pisma proszę przyjąć od kierownictwa Politechniki Lubelskiej oraz pracowników i studentów — sympatyków „Kamenny” serdeczne gratulacje oraz życzenia wielu dalszych sukcesów w twórczej pracy, a także pomyślności w życiu osobistym.

Słowa uznania kieruję również w imieniu szerokiego grona Inteligencji technicznej — jako zwyczajny czytelnik „Kamenny” i proszę uprzejmie o przekazanie najlepszych życzeń całemu Zespołowi Redakcyjnemu.

Doc. dr hab. inż. Andrzej Weroński — Rektor
Jubilatom z okazji półwiecza ich służby dla kultury polskiej serdecznie gratulacje, wyrazy uznania, szacunku i podziwu za ogromny dorobek oraz najszczerze życzenia niezłomnej i owocnej wytrwałości, tysięcy wiernych czytelników i satysfakcji spełnienia społecznej misji przesyłają

przyjaciele z kieleckich „Przemian”

Sto lat sympatii czytelników życzy grupa literacka „Słowo” z Krasnegostawu

Pół wieku żywota pisma, i to w czasach przeważnie nie sprzyjających trwałości to naprawdę prasowy ewenement Polski. Nie dajcie się zjeść i w następnym 50-leciu ku naprawdę doświadczeń tak przywiązanych do swojej „Kamenny” czytelników. Tego życzę Wam przyjazny zespół łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty”

Całej Redakcji najlepsze życzenia na pięćdziesięciolecie czasopisma. Świętuję z Wami Romuald Wiśniewski

Dostojnemu Jubilatowi serdeczne życzenia z okazji stulecia pięćdziesięciolecia składa Władysław Stefan Grzyb

Z okazji 50-lecia Waszego czasopisma proszę o przyjęcie najlepszych życzeń od redakcji tygodnika „Prawo i Życie”

Z okazji Jubileuszu 50-lecia Waszego pisma składam Panu i całemu Zespołowi najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności i dalszego rozwoju działalności publicystycznej.

Naczelnik miasta i gminy Terespol

Z okazji Złotego Jubileuszu założenia dwutygodnika „Kamena” Zespołowi Redakcyjnemu — najserdeczniejsze życzenia dalszych sukcesów w realizacji założonych programów, jakie Zespół sobie wytyczył; życzę jednocześnie pomyślności w życiu osobistym. Dyrektor mgr Eugeniusz Mysłowski

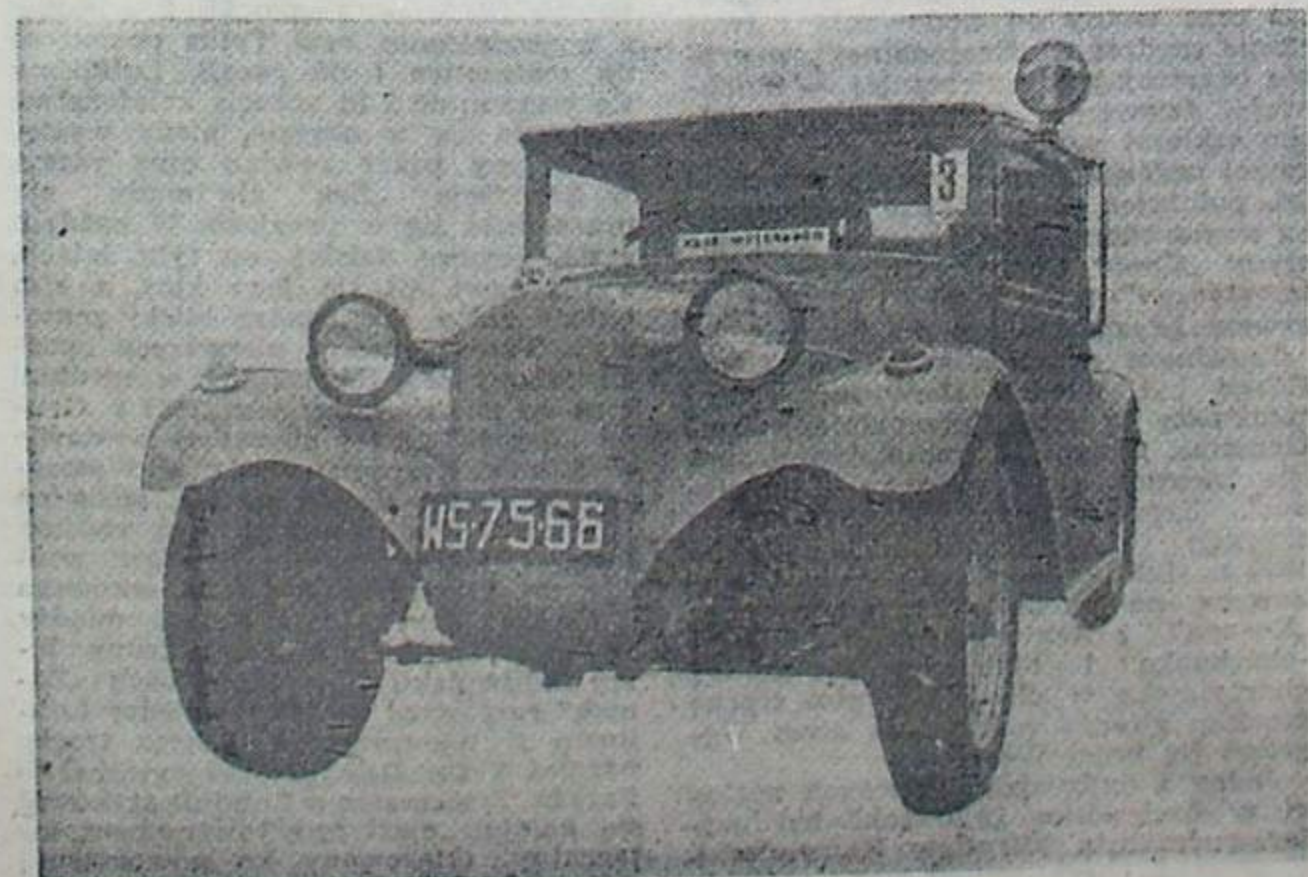
Muzeum Henryka Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej, gm. Krzywda, składa najserdeczniejsze życzenia Zespołowi Redakcyjnemu „Kamena” z okazji obchodzenia w br 50-lecia Waszego pisma. Mamy nadzieję, że to porywiste pismo literackie, a zarazem społeczno-kulturalne, naszego regionu będzie się nadal rozwijać i upowszechniać tradycje literackie osób związanych z naszym regionem.

Antoni Cybulski
Kierownik Muzeum

W półwiecze istnienia najstarszego czasopisma literackiego i społeczno-kulturalnego w kraju, życzymy „Kamennie” i Jej Zespołowi co najmniej tyle samo lat wydawniczych; na łamach — najlepszych piór; intuicji literackiej założyciela „Kamenny” oraz — przede wszystkim — wytrwałości w propagowaniu wartości kulturalnych nie tylko w skali Polski wschodniej.

Sto lat, Drodzy Przyjaciele!

Za zespół „Tak i Nie”
Kazimierz Zarzycki
Naczelny redaktor



Fot. Jacek Mirosław

Wśród artystów

Mirosław Derecki



Na początku 1957 r. zaczęło być głośno w środowisku lubelskim o mającym się wkrótce odbyć „Balu Młodej Inteligencji”. Ową ekskluzywną „bal” zaplanowano na jedną z sobót lutego w Klubie Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych przy Krakowskim Przedmieściu 32, a patronował mu działający już prawie od roku Klub Młodej Inteligencji. Na jego czele stała świeżo upieczona absolwentka historii sztuki, Krystyna Miernowska, córka znanego lubelskiego adwokata, przyjaciela poetów, malarzy i dziennikarzy — Józefa Czechowicza, Konrada Bielskiego, Zenona Kononowicza, Wacława Gralewskiego... Krysią — drobna, szczupła, ciemnowłosa, bardzo inteligentna — z tą domieszką kobiecej błyskotliwej złośliwości. Chodziła wtedy w czarnych sztruksowych spodniach-rurkach i trampkach. Szczególnie te trampki były kamieniem obrazy dla całej szacownej lubelskiej palestry.

Właściwie organizatorem „balu” była sekcja KMI, a mianowicie — prężne artystycznie i organizacyjnie Koło Młodych Plastyków. Koło to zawiązało się po zorganizowanej w lutym 1956 r. — przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych i Lubelski Oddział ZPAP — Wystawie Plastyków Amatorów i Nikifora. Objawiło się wówczas wielu utalentowanych młodych ludzi studiujących na lubelskich uczelnich lub już pracujących — Włodzimierz Borowski, Tytus Dzieduszycki, Ryszard Kiwerski, Mirosław Komendecki, Stanisław Michalczuk, Maria Urban, Józef Tarłowski, Przemysław Zwoliński, którzy postanowili nie zrywać raz już zadziergniętych kontaktów. Człowiekiem, który Koło Młodych Plastyków zorganizował i nadal mu właściwe przyspieszenie, był trochę starszy od swoich kolegów, obyty w bojach z administracją i już zarabiający samodzielnie na kawalek chleba, absolwent Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku Janiny Miłosiowej — Przemysław Zwoliński. On też został jednogłośnie obwołany prezesem koła.

Przy KMP powstała także sekcja teoretyków i krytyków sztuki, z Jerzym Ludwińskim na czele, który pisał wprawdzie pracę magisterską na temat nagrobków renesansowych w kościołach lubelskich, ale naprawdę pociągała go sztuka nowoczesna. Było w tej sekcji pełno przystojnych i ekstrawagancko się noszących studentek historii sztuki, do których jeszcze dołączały aktualne „egerie” młodych plastyków oraz niedawno opublikowane małżonki. Całe towarzystwo — plus etatowy przyjaciel i kumpel KMP, student prawa, Andrzej Zamorski, późniejszy lubelski adwokat — przesiadywało gromadnie w klubie przy Krakowskim Przedmieściu. Z dziewczynami tańczyło na sobotnich wieczorkach rock-and-rolla, a najbardziej podobały mi się — śliczna, czarowna i ciemnooka Maria May, rozdokazywana, króciutko ostrzyżona i cieża w języku Anka Ptaszkowska, rudawa, „ogólnista” Jana Stasiakówna (słama Komendeckiego) i ciemnowłosa, o spokojnej lecz pociągającej urodzie, żona Staszka Michalczuka, Hanna.

Pozycja członków Koła Młodych Plastyków w klubie przy Krakowskim Przedmieściu umocniła się po zorganizowaniu tutaj, w czerwcu 1956 r., pierwszej wystawy, nazwanej — „warszłatową”. Tworzyli młodzi plastycy głównie w przydzielonej im pracowni, w Miejskim Domu Kultury na Zamku. Było to obszerne i bardzo wysokie pomieszczenie znajdujące się na drugim piętrze nad bramą wejściową, oświetlone dwoma wielkimi, okrągłymi oknami. Pękła tam niejedna butelka wódki, niejedna dziewczyna zapoznana się całkiem blisko ze sztuką, ale powstało tam także kilkadziesiąt obrazów, różnych od tych, jakie dotychczas oglądano w Lublinie.

Jeszcze dzisiaj widzę wyraźnie Włodzia Borowskiego, drobnego, jasnego blondyna, ostrzyżonego „z grzywką”, jak stoi obok drewnianego podium dla modeli, w grubym, przypominającym dorożkarski, fartuchu, i leje na za-gruntowane płaszczyny żółte i białe lakiery nitro.

Później, w lutym 1957 r., w salach BWA przy ul. Narutowicza, na wielkiej i buiwersującej Lublin drugiej wystawie Koła Młodych Plastyków, przeciwnie informeli, tazyżmu i Włodzia Borowskiego wolał: „Wariat, ja leczę maluje!” Patronowała wystawie bardzo gorąco Jadwiga Grossmannowa, ówczesny kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury. Ona właśnie poparała prośbę młodych o udostępnienie im sali, co było nie w smak „starym” plastynom, zrzeszonym w związek. A także wyłożyła z państwowej kasy pieniądze na wydanie katalogu. To dziesięciostronkowa „składanka”, obok spisu autorów i ich prac, zawierająca szereg reprodukcji. Na pierwszej stronie edycje „Kompozycji II” Jana Ziemskiego, który — od dawna członek ZPAP — wystawiał po raz pierwszy z młodymi plastykami, opowiadał się w ten sposób po stronie tej sztuki. Piętnastu twórców ekspozycją 113 prac: olejów, grafik i rzeźb. Najwięcej bo 23 — Józef Tarłowski, po dwie — Lucejan Ociepa i Fryderyk z zawodu, Stanisław Studa (do którego później wszyscy chodziliśmy się „towarzysko” strzyż).

Wystawiali: Włodzimierz Borowski, Tytus Dzieduszycki, Jarawa, Ryszard Kiwerski, Mirosław Komendecki, Leszek Kosiński, Krzysztof Kurzątkowski, Jerzy Marek, Stanisław Michalczuk, Sadlej, Maksymilian Szoc i Jan Ziemiński. „Jarawa” to był pseudonim młodzieńczej, patykowatej, uczesanej „na topielicę” Ewy Jaroszyńskiej, przyszłej gwiazdy kabaretu „Sex”. Jako uczennicy liceum plastycznego, nie wolno było jej brać udziału w pozaszkolnych imprezach. Z podobnych powodów występował pod pseudonimem „Jerzy Marek”, student krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Jerzy Durakiewicz. „Sadlej” — to był pseudonim... Ale na ten temat — nieco później.

We wstępie do katalogu nie podpisany autor konstatawał: „Grupa młodych plastyków nie posiada ściśle sprezykowanego programu artystycznego. Jej geneza wiąże się z chęcią podjęcia walki przeciwko oficjalnie u nas uznawanej sztuce akademickiej: przede wszystkim XIX-wiecznemu naturalizmowi i postimpresjonizmowi. Ogólną tendencją jest dążenie do nowoczesności, rozumianej jako bardzo duża różnorodność postaw artystycznych. Młodzi plastycy korzystają z doświadczeń różnych kierunków: kubizmu, abstrakcjonizmu, nadrealizmu, tasmuzmu itp. Na tej podstawie próbują oni wypracować swoje własne widzenie świata i rzeczywistości”.

Pamiętam doskonale tę wystawę, która narobiła tyle zamętu w lubelskim środowisku, a z której uczestników miała się wkrótce wyłonić Grupa „Zamek”, aby przejąć następnie z wymiaru lubelskiego w wymiar ogólnopolski i nawet dalej... W sali BWA na prawo od wejścia (przy którym stał stolczyk, a na nim księga pamiatkowa zapelniona gestami inwektywami, pochwałami i pogroźkami) wisiały obrazy Tytusa Dzieduszyckiego m.in. „Cienie” oraz ten, który autor nazwał „Zdaje się „Porankiem”, a my ochrzcziliśmy mianem: „Tytus pijany”. W głębi, w przeciwległej ścianie, w prawym kącie, zawieszono „taszyzm” Borowskiego, w centrum — kubizujące płótna Sadleja, na lewo od nich „Kompozycja” Ziemskiego. Na lewej ścianie dominowały surrealistyczne obrazy Mirosława Komendeckiego, ze „Snem pijanej praczkii” na czele...

Tak oto wyglądała sytuacja w artystycznym Lublinie w przededniu karnewalowego szaleństwa. Doszły mnie słuchy, że zapisy na bal prowadzą „Majki”. W pewne mroźne i śnieżne przedpołudnie wybrałem się więc pod bramę — nie istniejącą już dzisiaj — Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i zasadziłem na schodach w oczekiwanu na dwie najbardziej nietypowe w dziewczyny w mieście.

Majka i Anka Ptaszkowska stanowiły nierozłączną parę. Studiowały na tym samym roku historii sztuki i mieszały we wspólnym pokoju akademickim w drewnianym onleimieckim baraku, ukrytym za wysokim murem po lewej stronie budynku uniwersyteckiego. „Majki” — to było określenie stosowane przez kolegów i przyjaciół. Inni studenci mówili o nich często: „te wariatki”. Majka i Anka ubierały się bowiem w sposób — jak na Lublin — szokujący. Obydwie — warszawianki — propagowały niekonwencjonalną modę. Pierwsze w Lublinie pojawiły się w kożuchach, kretonowych (zima) spódnicach, trykotowych rock-and-rollowych bluzkach, czarnych „triumfiakach” na nogach. A przede wszystkim: w kolorowych pończochach! Czerwone lub zielone pończochy — to było dla Lublina połowy lat pięćdziesiątych stanowczo zbyt wiele! Nikteli przy tym nawet „obrazoburze” trampki Krystyny Miernowskiej! W tym ducie przewodziła Anka. Ona też później miała wypłynąć na wody krytyki. Majka — spokojna, bardziej skłupiona w sobie, nie tak egotyczna jak Anka — była sympatyczniejsza w relacjach koleżeńskich. Ja więc właśnie zaczęliśmy na schodach KUL-u z pytaniem o Bal Młodej Inteligencji.

„To ty nie wiesz? — zdziwiła się. — Zapisy przyjmuje Sadlej...” „Aha — powiedziałem, jakby już wszystko było jasne. — Ale... kto to jest Sadlej?” „NIE WIESZ? Nie wiesz, kto to jest SADLEJ?! Jego WSZYSCY znają!!!”

No tak: popelnilem straszna gafę — nie znalazłem prezesa Koła Młodych Plastyków, człowieka, w którym, na dodatek, Majka była zakochana! Od takiego oto niezręcznego incydentu zaczęła się moja trzydziestoletnia bliskość przyjaźń z „Sadlejem”, czyli Przemysławem Zwolińskim. Czyli — „Szefem”.

„Starzy” i „młodzi” plastycy to były dwa światy. Nie zawsze zresztą, konieczne — skłócone. Ale — inne. Młodzi jednych akceptowali i lubili, innych nie cierpieli, innych jeszcze — po prostu nie dostrzegali. Lubiono na przykład Wiktora Ziolkowskiego, „opiekuna” KMP z ramienia związku plastyków. Podziwiano Zenona Kononowicza, artystę i niekonwencjonalnego człowieka, który swoim sposobem bycia wydawał się jakoś bardzo bliski

„młodym”, „zbuntowanym”, „nieprzystosowanym”.

Kononowicz całymi miesiącami przesiadywał w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie miał swoją pracownię. Latem malował od szóstej rano, a stojąc już przy sztalugach, udawał, że nie dostrzega znajomych, nie odklaniał się, odwracał głowę: nie znośił, kiedy ktoś gapił mu się na ręce. W lecie paradował po ulicy w swoich charakterystycznych „sandalach” zrobionych z tenisówek, w których wycinał otwory, obwodząc brzegi żółtą farbą. Zimą, idąc „na plener” w Kazimierzu, Kononowicz przypinał narty, brał do jednej ręki kasetę z farbami i sztalugi, do drugiej — wiadro z węglem i wiązka drewna. Gdzieś tam ukryty wśród kazimierskich wzgórz i wąwozów, rozpałał ognisko i przy jego ogniu grzał się i malował.

Władysław Filipiak zjeżdżał do Kazimierza głównie na lato. Malował i pływał po Wiśle zbudowaną własnoręcznie żaglówka „Baba Jaga”, a mieszkał w dwóch niewielkich pokojkach w willi Pruszkowskiego. Sytuacja Filipiaka kojarzyła się „młodym” z ustabilizowaną i „pieniężną” pozycją, i pewnie dlatego obydwie strony obwachały się przez wiele lat raczej nieufnie.

Natomiast nieustającą sympatią darzony był inny lubelski artysta, przedstawiciel średniego pokolenia, Stanisław Skiba. Stasio Skiba zresztą całymi długimi okresami nie malował. Zdarzało się to wówczas, kiedy nachodziła go kolejna fala namietności do Prousta. Siedział wtedy, dzień w dzień, od rana, przy stoliku pod płecem w największej sali kawiarni „Regionalna”, czytał „W poszukiwaniu utraconego czasu”, ciągnął ze szklanki chude piwo — „mocno wielbiał” — i wdychał: „Co za geniusz! CO ZA GENIUSZ”. Kiedy już mu zupełnie brakowało pieniędzy, rzucił piwo, Prousta i kawiarnię, i maszerował piechotą trzydzieści kilometrów, aż pod Łęczną. Tam jego ojciec miał duże gospodarstwo i Stasio przechodził na wsi „kurację odżywiająca” — na teraz i na zapas. Co pewien czas znajomych obiegala wiadomość: „Skiba znowu maluje!” Na ogół okazywała się ona bezpodstawną plotką.

Na pograniczu „młodych” i „starych” jawiła się postać Ziemskiego. „Jasio” Ziemiński był znacznie starszy od swych towarzyszy z Koła Młodych Plastyków, a następnie — Grupy „Zamek”. Od dawna należał do ZPAP, obarczony był drugą już z kolei żoną oraz gromadką dzieci, z którymi mieszkał w rodzinnym, drewnianym domu z dużym ogrodem, na ówczesnych peryferiach Lublina — w dzielnicy Dziesiąta, przy ulicy Słowackiego. Jasio uczęszczał do gimnazjum im. Zamojskiego jeszcze przed wojną, po wyzwoleniu zapisał się na medycynę, ale nie zabawił na niej długo. W okresie PKWN był kierownikiem kawiarni plastyków przy Krakowskim Przedmieściu. Poza tym miał Jasio pasję muzyczną. Jeden z przyszłych filarów Grupy „Zamek”, artysta, którego abstrakcyjne dzieła są w posiadaniu Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku, wprawiał się przez pewien czas w grze na perkusji oraz na saksofonie tenorowym. Ale to było na długo przed tym, zanim „wybuchła” w Lublinie młoda sztuka. Obecnie Jasio oddawał się hodowaniu kaktusów, zaś czas wolny od hodowania i tworzenia spędzał w „Regionalnej”. W gronie przystojnych, najchętniej — pulchnych, dziewcząt. Błyskał uwodzicielsko szklami wielkich okularów w rogowej oprawie, sypał wokół dowcipami, pointując co celniejsze powiedzonka swym charakterystycznym, przeciągłym: „Cooo? Cooo?!” Chłodny, „matematyczny” mimo żartów i uśmiechów, zawsze zdystansowany do świata...

Zupełnym przeciwstawieniem Ziemskiego był Włodek Borowski: raczej zamknięty w sobie, przepchnięty problemami, fobiami i kompleksami, pełen jakiegos nieokreślonego „biologizmu”. Zapamiętałem go najlepiej z zimnego listopadowego popołudnia 1956 r., stał wtedy razem z Anką Ptaszkowską na chodniku przed hotelem „Europa”, z tekturowym pudełkiem-skarbonką i biało-czerwono-zieloną chorągiewką w dłoni, i swoim trochę cienkim głosem wolał: „Na braci Węgrów! Na braci Węgrów!”

Jedną z najbardziej dziwnych postaci w środowisku „młodych” był malarz-surrealista Mirosław Komendecki. Z wyglądu przypominał prowincjonalnego nauczyciela lub przedwojennego

magistrackiego urzędnika. Ale w jego szczupłym i drobnym ciele, tyle że zwieczonym kępą rozwierzonych włosów, tkwiła natura niepokromiona, wyobraznia nieopanowana i dusza — nieokreślona. Z wykształcenia historyk sztuki, miał mnóstwo wiadomości z zupełnie różnych dziedzin. Przy malarzkich, posiadał niezaprzeczone zdolności literackie i drukował nawet przez jakiś czas swoje prozatorskie miniatury na łamach „Kamena”. Po ukończeniu studiów związał się najpierw z Miejskim Domem Kultury na Zamku, ale długo na etacie instruktora wychowania plastycznego nie wytrzymał. Został... świeckim katechetą w szkole. Co było tym ciekawsze ze sam był ateistą. No, a poza tym, jego sposób nauczania katechizmu był, co najmniej, oryginalny... Nie chodzi już o to, że zamiast trzymać dzieci w klasie, wprowadzał je na zajęcia „pienierow”, na pola lub do lasu, na zbieranie grzybów. Ostatecznie wiedzę można zgłębiać wszędzie. Ale ten sposób sprawdzania zadanego materiału! Pytał na przykład Komendecki ucznia: „Jakie są główne prawdy wiary?” Jeżeli chłopak nie wiedział, mógł się jeszcze uratować pytaniem „pomocniczym”: „A kto jest aktualnym mistrzem Polski w boksie, w wadze średniej?” Kiedy i tu nie było właściwej odpowiedzi, nauczyciel stawał bezapelacyjną dwójką. „Można się — mawiał przy tym — nie interesować religią, można się nie interesować sztuką, ale jeżeli kogoś nawet SPORT nie interesuje, to pozostanie on idiotą i matolem na wieki wieków. Dlatego powiedz ojcu, że dostałeś dwójkę nie za brak wiadomości, ale za brak przejawów ciekawości otaczającym światem!” Później Mirek zdecydował się na podjęcie pracy nauczyciela i kierownika szkolnej biblioteki w gimnazjum w Józefowie Bilgorajskim, który w owych latach był zabitym na glucho deskami prowincja. Nie wiem, jak tam się sprawdziły jego poglądy na nauczanie; fakt, że po pewnym czasie przeniósł się do Gdańska i tam chyba do dzisiaj pracuje w jednym z muzeów.

Wreszcie: Tytus. Tytusa Dzieduszyckiego spotykałem chyba najczęściej, bo mieszkał on w pobliżu Miasteczka Uniwersyteckiego, do którego wiodły moje codzienne drogi, w willi stojącej u zbiegu ulic Nowotki i Uniwersyteckiej, a zwanej popularnie „domem generalowej”. Tam właśnie jeden z sublokatorów, pan Józef Tuszcowski, dawny właściciel majątku pod Hrubieszowem, był oficer 2 Pułku Strzelców Konnych, a potem instruktor rolny oraz nieformalny lubelski opiekun Tytusa, w którym widział jakby syna, odstępował swemu podopiecznemu kąpiel za zabytkową rozłożystą simmierowską kanapą, w swym wypełnionym antykami i książkami pokoju.

Tytus miał te wszystkie cechy, które z młodego człowieka czynią doskonałego koleżę, sympatycznego kompana w towarzystwie, atrakcyjnego dla kobiet mężczyznę. Przystojny, wysportowany i doskonale wychowany, na swój sposób także — elegancki. Przyrodnik z wykształcenia, czuł Tytus powołanie do malarstwa i do poezji. Lubiliśmy się wzajemnie i to uczucie koleżeństwa pogłębiło się w okresie, kiedy występowałyśmy przez pewien czas razem w kabarecie „Sex”, ale nigdy nie przerodziło się w przyjaźń. W każdym razie, jeszcze dzisiaj, po tylu latach, Tytus jawi mi się jako ktoś, z kim byłbym żyty jak bardzo bliski znajomy... Tytus jeden z pierwszych opuścił środowisko lubelskie: w niedługi czas po powstaniu wiosną 1957 r. Grupy „Zamek”, i jej pierwszej wystawie w Klubie Krzywego Koła w Warszawie, przeniósł się do stolicy, gdzie na Saskiej Kępie mieszkali jego rodzice. Później, po skończeniu studiów wrócił do Warszawy Anka Ptaszkowska i Majka May; zaczął krążyć między stolicą a Lublinem teoretyk grupy, Jerzy Ludwiński. I w ten sposób „Zamek” rozciągnął się jakby między Lublinem a Warszawą. A jeszcze trochę później Tytus Dzieduszycki wyjechał do Paryża Tymczasem w Lublinie sztykował się kolejny „plastyczny” ewenement: integralny, skierowany ku nowoczesnej sztuce dział „Kamena” pod nazwą „Struktury”...

Renata Blicharz

ŻYCIE?

Żyjemy estetycznie i higienicznie,
systematycznie i dokładnie,
żywemy jak mówi dozorczyńni
ładnie.

We wtorek przyjmujemy gości,
w czwartek składamy wizyty,
w piątek siedzimy
po hymn w telewizji,
w sobotę długo śpimy,
bo nie trzeba do pracy.
W niedzielę rozsuwasz nocne koronki
mojej koszuli,
dotykasz moich piersi.
Bezsilne są kaskada moich włosów,
kaskady ironicznych słów,
i bezrozumnego śmiechu,
kaskady łez,
wybuchających nieoczekiwanie
w któryś poniedziałek.
Nasze domowe ognisko
nikogo nie ogrzeje.

JESIENIA

I jakoś mnie ubywa
z każdym dniem
Oddechu coraz mniej
uśmiechu coraz mniej
i śpiewu coraz mniej
kochania coraz mniej
Tylko coraz więcej
czasu

CORKA SĄSIADÓW

Nie podchodzę nocą
do okna
Widzę wtedy światelko
w oknie sąsiadów
malutki żółty punkcik
na tle nocnego nieba
symbol spokoju
cichego szczęścia domowego ciepła
widzę symbol
Ich córka zwierza mi się
w parku na ławce:
— ... i tyle lat przed nimi
dlaczego oni tak się nienawidzą
niech pani powie, dlaczego



On w fotelu czyta gazetę
Znowu podwyżki
Rozkłada pensję
Na cztery tygodnie i cztery osoby
Ona robi na szydelku serwetkę
W myślach rozkłada ją
Na kredensie pod porcelanową tancerką
— A wiesz — mówi on
Podeszła do mnie jak czekałem na tramwaj
Jakaś kobieta
Daje mi fiołki
I mówi „To dla pana. Już wiosna.
Ciesz się pan że już wiosna?”
Wiesz był dziś straszny tłok
Ledwie się wepchałem
No ale widziałas coś takiego
On w fotelu czyta gazetę
Ona robi na szydelku
Sto trzecią serwetkę
— Stara wariatka — mówi ona

Edyta Ilczak

RZEKA

Te słowa, które
w sobie uzbierałam
skryłam
płyną ze mnie
szeroką rwącą
rzeką
niszczą po drodze
wszystko co niegdyś
zasiałam
Porywają ze sobą to
co jest mi już w życiu
niepotrzebne
Boję się tylko
że mogę zatopić
człowieka.

PSIE SMUTKI

Małe zmartwienia siedzą
pod drzwiami
jak wierny pies.
Patrzę na mnie jakby
szukały pomocy.
Wychodzę więc im na
przeciw i mówię
chodźcie
wejdźcie, rozgoście się.
I siedzą w czterech
rogach pokoju.
Patrzę na mnie
swymi psimi oczyma.
Oprócz ciepła pokoju
przecież
nie nie mogę
im podarować.



Rys. E. Inglot

Elżbieta Kowalczyk

Tamten obłok
znow spadł
w moje
ramiona
i stopniał
Małe smuteczki
na ścianach rozwieszam
i włosy mi
popieleją
płowieją myśli
Za mało nam
życia
by jutro znow
być
bez Ciebie.

LIST OSTATNI

Jesteś głupcem
gdy mówisz o swoich złościach
o swojej niedobroci dla mnie
o tamtych złych datach

Jesteś głupcem gdy rezygnujesz
ze swojego raję
gdy każesz mi stać obok
i iść bez swoich rąk
Jesteś głupcem
i tylko wtedy
rozsądniesz
gdy mówisz:
nie można Cię nie kochać
i naginasz do moich włosów
gałasz czeremchy...

Bożena Rybak

OCZEKIWANIE

Puste miejsce —
a jednak zajęte
Nie pytaj na co
dla kogo, dla czego?
Nie stawiam pomników nikczemnym
Nie zostawiam miejsca przypadkowym
Robimy to
co inni, kochamy tak samo
i myślimy, że to nasze
co wybrane —



Sledzą mnie
lata dzieciństwa w lustrze
czyhają na moją twarz —
potarganą kokardę
order za odwagę
teraźniejszości...

Marek Wlazło



Modliłem się dźwiękami fujarki
nie wiedząc...
do Kogo i do Czego?
Chciałem grać
na flecie lub organach
nie mogłem
Nie miałem pieniędzy
Oczy uszy serce i rozum
wciąż miałem otwarte
Później miałem
flet organy i pieniądze
nie potrafiłem już
wygrać swojej
melodii do końca
Rozeschła się moja fujarka

złapali mnie za myśli
jak pisałem
kazali podać ręce
i powiedzieli
— masz złamane
obie wkładając w gips
teraz szukam lekarza
który by umiał
go zdjąć
chcę dalej myśleć

Gorzkie owoce

Dokończenie ze str. 1

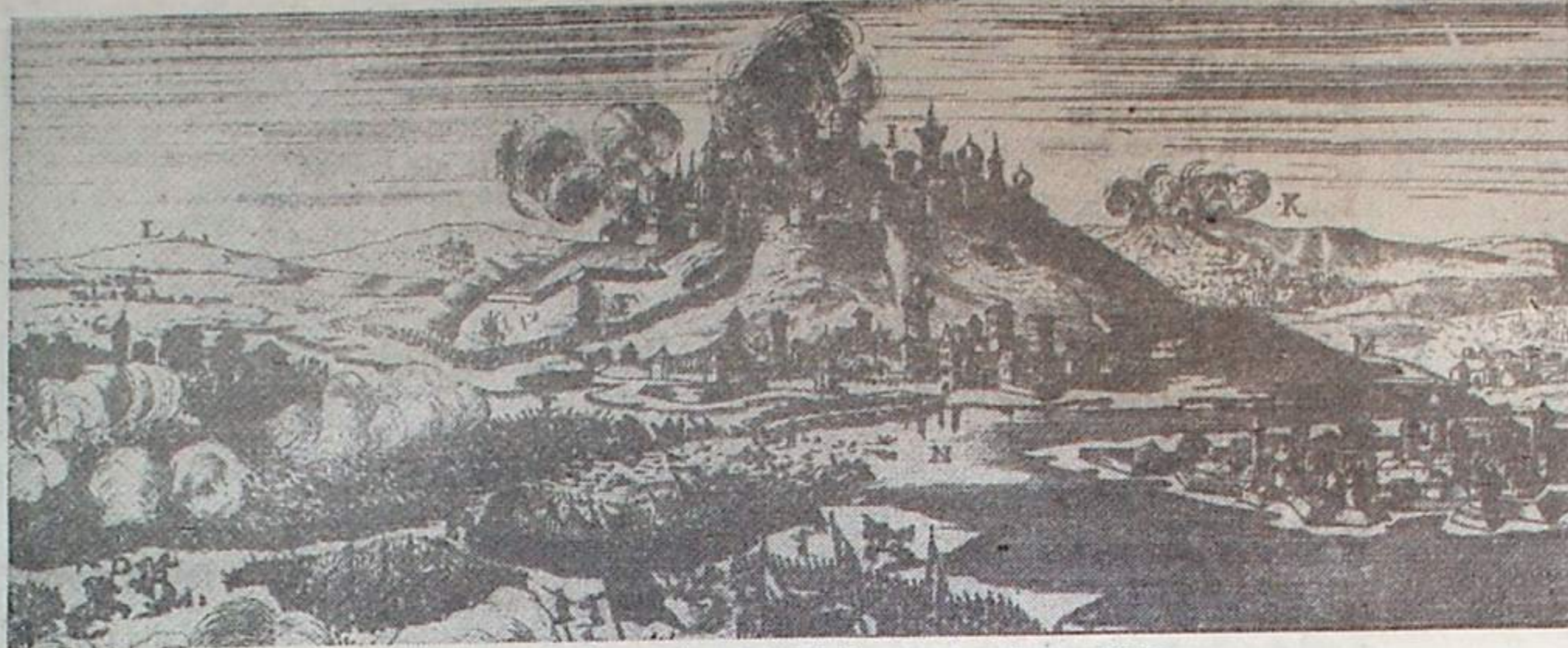
Cesarz Leopold I Habsburg, który nie spodziewał się tak rychłego oswo-bodzenia swej stolicy, posuwał się z dworem za armią odsieczową, aby w chwili zwycięstwa ukazać się nagle i odbyć triumfalny wjazd do miasta, so-bie w oczach ludności przypisując za-

sobie Wę to, co Wci mówią, i zastanów się Wę, czy nie należałoby przedłożyć całej tej sprawy Ojcu św. [Innocente-mu XII]. Nade wszystko zaś nie pole-gaj Wę zbyt na swojej sławie i na pięknym postępowaniu, żebyś się Wę samemu nie przyprawił o zgubę".

Pomimo nieporozumień z cesarzem So-bieski uważał, że dalsze współdziałanie

kę Parkány, umocnienie na lewym brzegu tej rzeki, broniące przyczółka mostu pod Esztergomem.

Pod Parkánami oddziały polskie, wysforowawszy się przed główny kor-pus wojska, napotkały niespodzianie silny opór Turków i poniosły 7 paź-dziernika dotkliwą porażkę. W śmier-tełym niebezpieczeństwie był sam



Widok twierdzy esztergomskiej. Fragment ryciny z 1684 r.

slugę uratowania Wiednia. Wydał na-wet polecenia, aby do stolicy nie wpuszczano nikogo przed jego przy-byciem. Rozkazy te jednak nadeszły zbyt późno, aby uniemożliwić Sobieskiemu bodaj krótki pobyt w oswo-bodzonym Wiedniu. Rodową dumę Leo-polda I drażniły i pobyt Jana III w stolicy przed nim, i odruchowe, entu-zjastyczne uniesienia tłumy, który całował królowi ręce, szaty i nogi, i zdo-bycie przez polskiego monarchę pod-czas bitwy licznych trofeów w tureckim obozie. Cesarz zwłaszcza niechętnie patrzył na klójące się z jego in-teresami zamiary Sobieskiego ewentu-alnego wyniesienia syna Jakuba na tron Węgier. Leopold I chciał, aby kapitał ze zwycięstwa wiedeńskiego przypadł jemu, a nie polskiemu mo-narsze. To narzucało taktykę postępo-wania wobec Sobieskiego i polskiej armii.

Królowa Maria Kazimiera, wyracho-wana i chłodna, zdając sobie sprawę, że polityka to droga śliska, pełna wil-nych dołów i zdradliwych przepaści, śląc Sobieskiemu rady, pisała otwar-cie: „Przygotowana byłam na nie-wdzięczność, ale nie przypuszczałam, żeby mogła okazać się aż tak wielka. Najbardziej gniewa mnie to, że nasi nieprzyjaciele nie będą się posiadali z radością... Trzeba, żebyś Wę wracał... Lepiej przecież iść do Budy (która, jak mi się zdaje, znajduje się bliżej Stry-ja), wracać do domu przez kraj nie-przyjacielski i uzyskać dla swojego kraju jakieś korzyści. Jeżeli Wę za-trzymasz w swoim ręku zdobyte na nieprzyjacielu ziemie to kiedy inni, nie zważając na Wę będą się układa-li o pokój — a wszyskiego się po nich można spodziewać po tym, co się sta-ło — będziesz Wę mógł iść na wymia-nę, jeżeli nie udałoby się Wci odzys-kać Kamieńca i Podola. Zresztą sko-ro nie dotrzymują wiary, nie są war-ci, żeby przez wzgląd na nich robić sobie wrogów z tych co Wci szukają. Ja bym ich na Wci miejscu wysłucha-ła i pomyślałabym o własnych korzy-ściach. Przekonasz się Wę że w na-szych czasach niekne postępowanie może tylko wystawić człowieka na pośmiewisko. Wystarczy, że Wę nie masz sobie niczego do wyrzucenia przed Bogiem i przed ludźmi, wywią-zawszy się z tego co człowiek poboż-ny i prawy powinien uczynić. Ale na tym obłudnym świecie im bardziej ktoś jest potrzebny tym bardziej go sza-nują. Wola [Habsburgowie] żeby Tur-cy zatrzymali to, nad czym nie moż-na by spokojnie panować, a skąd na-dal zagrażać będzie Polsce niebezpie-czeństwo. Po tym co tu doszło do mo-ich uszu, myślę że nie uda się im Po-laków drugi raz namówić, żeby po-spieszyli na obronę cesarstwa. Rozważ

sprzymierzonych jest potrzebne. Zdawał so-bie sprawę, że skoro głównych sił wroga nie udało się zniszczyć pod Wiedniem, na-leży tego dokonać w kolejnej bitwie, gdyż to przesądzi o wynikach nie tylko kampanii, ale i wojny. Postulował wyzyskanie sukcesu wiedeńskiego w postaci marszu na Budę — główny ośrodek panowania tureckiego na Węgrzech — gdzie spodziewał się, że dojdzie do nowego starcia z wojskami wielkiego wezyra Kara Mustafy paszy. Ce-sarz Leopold I i jego doradcy po bitwie wiedeńskiej pragnęli przede wszystkim spa-cyfikować ogarnięte antyhabsburskim po-wstaniem Thököly'ego obszary Górnych Wę-gier, tj. Słowacji i dzisiejszej Ukrainy Za-karpaciej; ostatecznie zdecydowano się na marsz lewym brzegiem Dunaju na silną nieprzyjacielską twierdzę Esztergom (Gran) i ewentualnie dalej na Peszt — zdobycie tych ważnych przepraw na Dunaju odcią-nęło Górne Węgry od pomocy z głębi państwa tureckiego. Król polski zgodził się na tę koncepcję, licząc wciągnąć, że będzie mógł po-średniczyć między powstańcami Imre Thö-köly'ego a cesarzem.

19 września 1683 r. wojska sprzy-mierzonych wyruszyły w kierunku Bratysławy (Preszburga). Liczyły teraz około 35 000 żołnierzy. 2 października armia ta przybyła pod Komárno. Na długich naradach w Komárnie zrezy-gnowano definitywnie ze zdobywania twierdzy Nowe Zamki za czym opo-wiadali się uprzednio w Wiedniu nie-ktorzy generałowie cesarscy. Obecnie wszyscy zgodzili się, że należy atako-wać położoną na prawym brzegu Du-naju twierdzę esztergomską. Przedtem jednak trzeba było opanować fortecz-

król Sobieski, którego ocalił — po-święcając własne życie — nieznanym z nazwiska rajtar. W starciu zginął m.in. wojewoda pomorski Władysław Den-hoff, którego odcięta głowa Turcy wzięli zrazu za głowę Sobieskiego. W dwa dni później jednak, gdy nadcią-gnęła piechota cesarska, powtórna bit-wa zakończyła się zdecydowanym zwycięstwem sprzymierzonych: 15-ty-sięcna armia turecka została doszczę-tnie rozbita. Efekty zwycięstwa w tym drugim starciu Sobieski ocenił jako większe od uzyskanych pod Wiedniem. Istotnie, choć siły tureckie, które tu zniesiono, były o wiele mniejsze od walczących pod stolicą cesarstwa, jed-nakże zniszczono je całkowicie.

Po sukcesie pod Parkánami można było przystąpić do oblężenia Esztergo-mu, który wnet, bo w nocy z 27 na 28 października, kapitulował. Sobieski z radością donosił żonie: „Nad zdanie i imaginację wszystkich rezolwowaliśmy się na tę fortecę w deszczu, zimna, bez żadnego sposobu paszy dla koni i żywności dla siebie... Nieprzyjaciel poddał się tej nocy, tj. czwartego tylko dnia od obsydii [oblężenia], na imię moje... Było na tej fortecy pięć tysięcy Tur-ków, paszów dwóch (komendantem pa-sza Alepu, jeden z najprzedniejszych paszów), którym wezr do ostatniej

kropki krwi zlecił obronę tej fortecy, sam uciekający do Budy, o co nań i ci tu, i wszyscy bardzo źli Turcy, że sam ucieka, a drugim się bić każe i o to ich ścina i traci. Z duszą tylko i z ręcznym orężem wychodzi to prezy-dium [załoga] do Budy. O jako tu dziś wszyscy weseli, wypowiedzieć tego nie-podobna; a przed kilką dni nie było człowieka, co by mu się to zdać mia-ło. Jest to forteca najprzedniejsza ca-lego królestwa węgierskiego, arcybi-skupstwo; zamek wielki bardzo na górze wysokiej i skale, miasto zaś na dole dokoła zamku... Niby Kudak kie-dyś nasz polski, około którego bywały ustawiczne bitwy, tak że gdyby ści-snąć garść tej tu ziemi, tedyby krew z niej wysiknęła. Dopieroć teraz jesz-cze zjednałem sobie przyjaźń turecką, którzy mię zowią katem tureckim, że z mojej okazji tak wiele ich już na-ginęło; a z tym wszystkim wola się przecie spuszczać na moje słowo i dy-skrecję niżeli na czyje inne... Gdyby się september [wrzesień] chciał wró-cić nazad, w Panu Bogu nadzieja, że by się było mało Turków w fortcach królestwa węgierskiego zostało, bo si-ła zameczków i sami opuścili, żołnierz zaś ich konny i janczarowie nie tylko służbę, ale przywileje na majątności wezyrowi rzucali, na którego wszyscy źli i niedobry mu obiecują koniec".

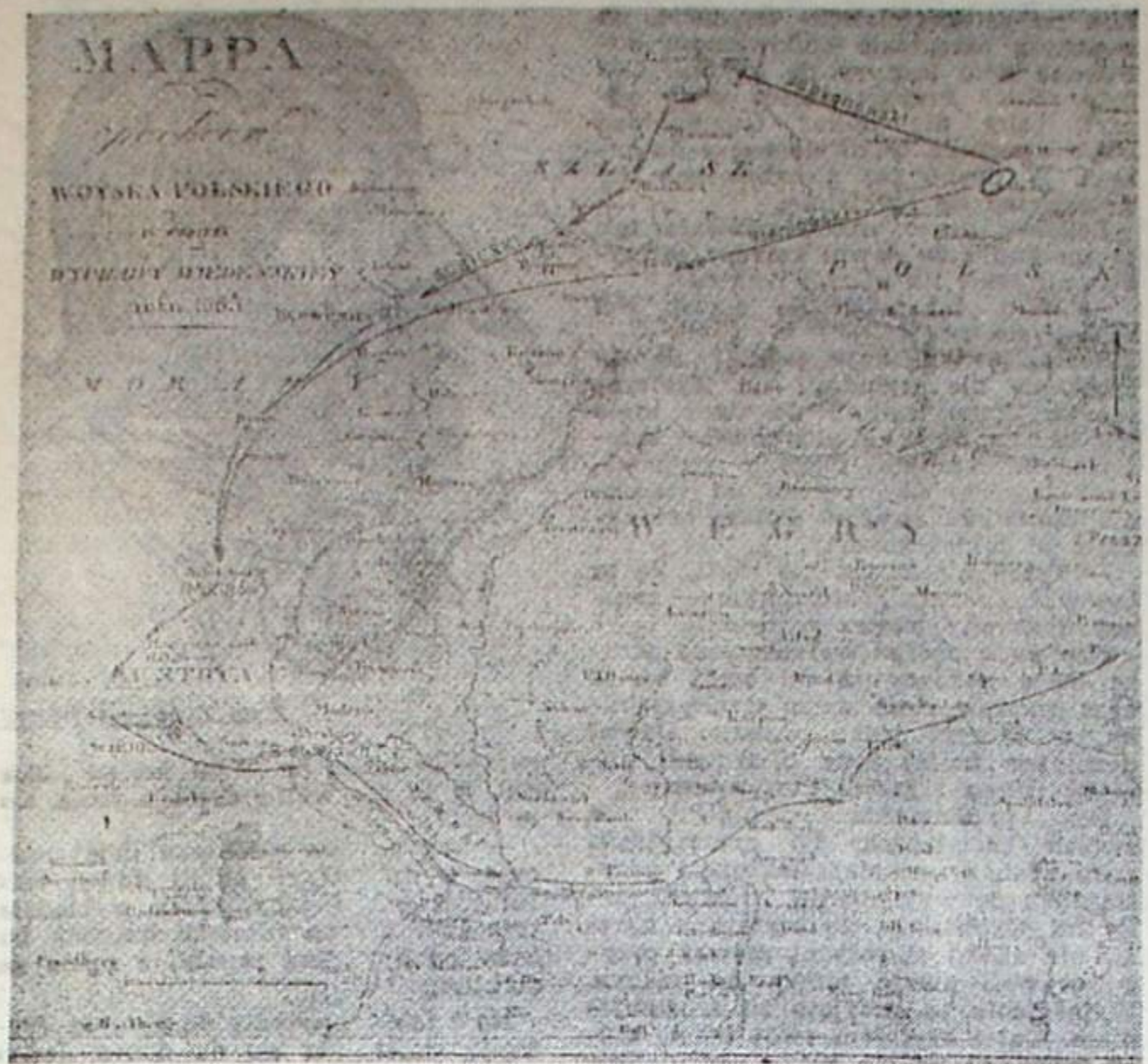
Główne działania militarne kampanii zbli-żyły się ku końcowi. Czas było myśleć o udaniu się na kwatery zimowe. Według zawartego porozumienia, oddziałom polskim przypadło 13 komitatów w Górnych Wę-grzech, tj. na obszarze dzisiejszej wscho-dniej Słowacji i Ukrainy Zakarpaciej. Te-reny te znajdowały się jednak w rękach Imre Thököly'ego i trzeba było opanować je zbrojnie lub też uzyskać do nich dostęp poprzez układy. Nawiazane z Thökölym pertraktacje zostały jednakże zerwane na wieść o wkroczeniu na Słowację armii li-tewskiej.

Wojska litewskie, liczące około 10 000 ludzi, nie wyruszyły wraz z armią ko-ronną pod Wiedeń, zbyt późno bowiem przybyły na miejsce koncentracji od-działów. Król Jan III polecił im ma-szerować na Węgry. 4 października Litwini przekroczyli granicę Słowacji, rozbiegli się po Orawie i zaczęli kraj bezlitośnie plądrować.

31 października armia polska ruszy-ła spod Parkánów w kierunku miasta Szécsény. Wobec zerwania pertraktacji z Thökölym trzeba było torować drogę orężem. Szécsény zdobyto szturmem 10 listopada, po czym przez Filá-kovo wojsko polskie dotarło do Ri-mavskiej Soboty. Drogi wskutek je-siennych deszczów rozmokły i masze-rowano bardzo powoli; często łamały się osie i koła u wozów. Wielu żoł-nierzy z żalem musiało też wyrzucać część zdobyczy spod Wiednia, której nie mogli uciągnąć utrudzone, wynęd-zniałe konie. Dopiero 19 listopada ar-mia litewska złączyła się z oddziałami koronnymi. Nie zdecydowano się jed-nak na obleganie silnie umocnionych Koszyc i Prešova (Eperies), ograniczo-no się do zajęcia 8 grudnia Sabinova. Król polski zamierzał napisać list po-żegnany do cesarza z zaznaczeniem, „że mu nasza kolidacja przez osobę moją oddała Wiedeń, Austrię i Kró-lestwo Węgierskie; jeśli to kto, kiedy



Stracenie wielkiego wezyra Kara Mustafy. Rycina z 1684 r.



i dla kogo uczynił, a w tak krótkim jeszcze czasie, niech mi pokaże przykłady; nie targowaliśmy się tu o szturm ani batalie, jako się stało w dożywaniu Kazimierza pod Krakowem z Szwedami, ani nam miast bańskich tj. kruszcowych w zastaw tak nie dano, jakoś byli dali żupy wielkie". Ten ostatni fragment stanowi aluzję do usług wojsk austriackich świadczonych Polsce podczas potopu szwedzkiego.

Sobieski nie chciał pozostawić w Słowacji oddziałów koronnych na kwatery zimowe. 13 grudnia przekroczyli one granicę Rzeczypospolitej. W Muszynie na Pogórze hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski odprawił zwycięzajowe generalne koło wojskowe, przydzielając na nim poszczególnym jednostkom kwatery zimowe. Król pożegnał się z wojskiem pod Lubawą i wraz z synem Jakubem popłynął do Starego Sącza. Tu 16 grudnia, a więc „w porze kiedy noc najdłuższa", spotkał się „z jedyną duszą i sercem polechą, najsiłniejszą i najukochańszą Marysielką", aby po blisko czteromiesięcznej rozłące znów znuć zapach jej ciała i kochać ponad wszystko. Triumfalny wjazd do Krakowa Sobieski odbył 23 grudnia, w dzień przed wigilią Bożego Narodzenia, radośnie witany przez mieszkańców miasta.

W tym czasie w dalekim Belgradzie rozstrzygnął się los dumnego, ale niefortunnego wodza tureckiego. Wielki wezyr Kara Mustafa pasza za klęskę pod Wiedniem winą obarczył Ibrahima paszę, gubernatora Budy. Ponowna porażka wojsk tureckich w bitwie pod Parkánami i zdobycie będącej od 140 lat w rękach osmańskich twierdzy Esztergom spowodowały ostateczną utratę zaufania sultana Mehmeda IV, który wydał rozkaz stracenia wielkiego wezyra. Polecenie zostało spełnione 25 grudnia 1683 r. w Belgradzie, gdzie przebywał wówczas Kara Mustafa. Jeden z kronikarzy tureckich, Silahdar Mehmed aga z Fyndyky, następująco opisał wykonanie wyroku śmierci na niefortunnym dowódcy spod Wiednia: „Wielki wezyr [Kara] Mustafa pasza akurat kazał był rozprostować kobierzec modlitewny, aby odprawić namaz południowy... gdy wtem na ulicy rozległ się hałas wszczęty przez konie. Chcąc wiedzieć, co się stało, wyjrzał przez okno, które wychodziło na ulicę, a gdy zobaczył janczarów, za nim zaś kłanie kapydźczy i czawuszbaszego, rzekł: — Przerwij namaz, imanie efendi! Sprawy przybrały inny obrót... Potem zacieraając ręce zaczął się przechadzać. Tymczasem tamci skierowali się bezzwłocznie ku serajowi i weszli na piętro... — Co nowego? — zapytał [wielki wezyr]. — Najjaśniejszy nasz padyszach jegomość żąda pieczęci monarszej, świętej chorągwi i klucza od Kaaby, które znajdują się pod twoją pieczęcią — odpowiedział mu zaraz kłania kapydźczy. — Stanie się, jak mój padyszach rozkazał! — rzekł [wielki wezyr]. Wyjął tedy z zanadru pieczęć monarszą, a także przyniósł świętą chorągiew i klucz od Kaaby razem ze szkatułką, w jakiej się znajdowały, i oddawszy [wszystko] zapytał: — Sądźona nam śmierć? — Nie inaczej! Niech Allah nie pozwoli abyś utracił wiarę! — brzmiała odpowiedź. — Woła Allahowa! — rzekł [wielki wezyr]. Potem kazał roznieść kobierzec do modlitwy, a gdy tamci wyszli z komnaty, odprawił namaz południowy. [Wszystko to] nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Zmówił [jeszcze

tylko krótką modlitwę, przeciągnął rękami po twarzy, po czym rzekł do swojego pazia: — Teraz wyjdźcie, a nie zapominajcie o mnie w swoich modlitwach. Potem własną swoją ręką zdjął z siebie futro i zawój oraz powiedział: — Niech przychodzą. Ten zaś kobierzec zabierzcie, aby się mój zewłok uwaliał w kurzul [Kobierzec] usunięto. Kaci weszli, a gdy już przysposobili sznury. [wielki wezyr] własnymi rękami uniósł sobie brodę i, pogodzony z losem, powiedział: — Tylko dobrze załóżcie Ci założyli [sznury] i dwakroć ściągajcie, a wtedy on wyzioną ducha". Po uduszeniu wielkiego wezyra, kat uciął mu głowę, którą zawieziono sultanowi Mehmedowi IV jako dowód wykonania wyroku. Zwłoki Kara Mustafy pogrzebano w Belgradzie, natomiast uciętą głowę w Adrianopolu przy meczecie Sarydża paszy. Cały jego ogromny majątek został skonfiskowany na rzecz skarbu sultanańskiego. Urząd wielkiego wezyra sultan Mehmed IV powierzył kajnakamowi stambulskiemu Ibrahimowi paszy.

W marcu 1684 r., w pół roku po Wiedniu, Sobieski wzmocnił związki z Austrią, podpisując w Linzu pakt antytyreckiej Ligi Świętej, do której oprócz Polski i Austrii weszły: Wenecja i Kuria Rzymska, a od 1686 r. także Rosja. Celem tej Ligi, której duszą stanowił papież Innocenty XI, była rewindykacja ziem utraconych na rzecz Turcji. Sojusznicy zobowiązali się do wspólnego wojowania i wspólnego zawarcia pokoju. Każdy z nich miał działania prowadzić jednak odrębnie. Papież zobowiązał się wspierać aliantów moralnie i materialnie. Sobieski popierał utworzenie Ligi, liczył nie tylko na odzyskanie Podola z twierdzą kamieniecką i Ukrainą nadnieprzańską, ale i na przyłączenie do Rzeczypospolitej księstw naddunajskich Mołdawii i Wołoszczyzny jako państw lennych z jego synami na ich tronach. Te daleko sięgające plany polskiego monarchy stały w sprzeczności z planami cesarza, który nie zamierzał się ograniczać tylko do odzyskania całych Węgier. Rzeczpospolita nie mogła więc liczyć na poparcie przez Austrię swych planów ofensywnych. O ile udział w odsieczy Wiednia był dyktowany przez polską rację stanu, o tyle ścisłe związanie się z sojusznikami w ramach Ligi uniemożliwiał wycofanie się z działań zbrojnych w stosownym momencie i zmuszało Rzeczpospolitą do prowadzenia przewlekłej wojny, na co nie miała wystarczających środków, a korzyści z niej przynosiły głównie innym. Polsce wojna ta pozwoliła jedynie odzyskać utracone w 1672 r. Podole i Ukrainę naddnieprzańską.

Pokój w Karłowicach w 1699 r., który zawarli z Turcją członkowie Ligi Świętej, stanowił dla Polski zakończenie zmagania z państwem osmańskim. Odtąd stosunki Polski z portą układały się pokojowo, a negatywne stanowisko Stambułu wobec rozbiorów Rzeczypospolitej i pomoc udzielana przez Turcję uczestnikom polskich powstań narodowych zapoczątkowały uczucia sympatii dla kraju nad Bosforem.

Adam Andrzej Witusik

Michał Fijałka

ZMAREK Michał Fijałka — kapitan rezerwy, inżynier rolnik, magister pedagogiki — który ostatnie lata swego prawego życia poświęcił rzetelnej rekonstrukcji dziejów słynnej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, walczącej m.in. na Lubelszczyźnie. Urodził się w ubogiej rodzinie chłopskiej — 5 października 1915 r. we wsi Izdebnki koło rzeszowskiego Brzozowa.

Świadectwo maturalne w Gimnazjum im. Królowej Zofii w Sanoku otrzymał w 1935 r. Nie uzyskawszy, mimo licznych starań, pracy zgodnej z wykształceniem, zatrudnił się jako robotnik w kopalni ropy w Mokrem koło Sanoka, gdzie po roku otrzymał wezwanie do odbycia obowiązkowej służby wojskowej (Kurs Podchorążych Rezerwy) w 5 Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemysku. Następnie, od stycznia 1938 r., był instruktorem rolnym w tamtejszym Powiatowym Biurze Rolnym.

Po wybuchu wojny 1939 r. jako podchorąży w Armii „Kraków” brał udział w hecnych bitwach z Niemcami. Z kampanii wrześniowej wrócił do rodzinnej wsi — konno, w pełnym umundurowaniu — skąd przez Węgry, Jugosławię i Włochy dotarł do Francji, gdzie w szeregach wojsk polskich i francuskich kontynuował walkę z hitlerowcami, począwszy od 17 listopada. Później przedarł się ze swym pododdziałem, przez port w Bordeaux, do Szkocji, by rozpocząć kolejny etap swej służby: w Batalionie Podhalańskim.

Jesienią 1940 r. skierowany został na szkolenie spadochronowo-dyweryyjne „cichociemnych”, które ukończył z wysoką lokatą. 20 sierpnia 1942 r. otrzymał Krzyż Walecznych (za udział w walkach we Francji) oraz osobiste gratulacje od Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego.

W nocy z 1 na 2 września tegoż roku wrócił do Polski; zrzucony z samolotu w powiecie Nowe Miasto koło Warszawy, dotarł do Komendy Głównej AK, pozostając w jej dyspozycji do marca 1943 r.

Przeniesiony do Inspektoratu AK w Kowli i formalnie zameldowany jako robotnik rolny w nadleśnictwie, przystąpił do organizowania oddziału partyzanckiego w lasach tego powiatu. Wkrótce przeszedł do utworzonego od-

3 maja 1944 r. rozkazem Komendy Głównej AK awansowano M. Fijałkę do stopnia kapitana.

W partyzantce — jako „Sokół”, „Kawa”, „Wieśniak” — działał do 25/26 lipca 1944 r., czyli do rozwiązania 27 Dywizji, z którą przeszedł cały jej szlak bojowy.

W listopadzie 1944 r. zawarł związek małżeński z Antoniną Leśniewską, łączniczką KG AK, córką rolnika z Radowicz k. Kowli.

W 1945 r. osiedlił się z żoną i jej matką, wdową, w Trzebiczu (pow. Strzelce Kraińskie) na Ziemiach Odzyskanych. Jesienią tego roku ujawnił się przed Komisją Likwidacyjną do spraw AK obszaru centralnego. Weryfikacja MON potwierdziła przebieg służby wojskowej, stopień i odznaczenia M. Fijałki.

Przez wiele następnych lat pracował w oświacie rolniczej, wielkim nakładem sił organizując m.in. Publiczną Srednią Szkołę Rolniczą Praktyków Specjalistów i Podstawową Szkołę Agrotechniczną w Bobowicku w pow. międzyrzeckim. Był nauczycielem i dyrektorem szkół średnich, nie zawsze w tym okresie (do 1956 r.) właściwie traktowanym przez władze zwierzchnie. Równocześnie udzielał się społecznie w komisjach rad narodowych, w ZBoWiD i ZNP. upowszechniał wiedzę rolniczą na Ziemiach Zachodnich. Ciągłe też podnosił swoje kwalifikacje ukończył Studium Nauczycielskie, następnie uzyskał dyplom inżyniera rolnika i tytuł magistra pedagogiki UMCS. Wychował i wykształcił czworo dzieci.

Po przeniesieniu się do Lublina pracował początkowo na stanowisku kierownika internatu Technikum Mechanizacji Rolnictwa, w której to szkole wykładał ponadto przedmioty zawodowe. Następnie przez dziewięć lat był dyrektorem Bursy Szkół Artystycznych, gdzie znów ujawnił swoje nieprzebrane zdolności organizatorskie, prawotę charakteru i rzetelność w spełnianiu obowiązków pedagogicznych. Równoległe wykładał wychowanie obywatelskie w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych i współpracował z Zakładem Historii Najnowszej UMCS w badaniach nad dziejami AK na Lubelszczyźnie. W „Kalendarzu Lubelskim” 1963 opublikował materiał źródłowy pt. „27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej (16 stycznia — 26 lipca 1944). Geneza, kalendarium walk, ostatnie dni na Lubelszczyźnie”.



Michał Fijałka otrzymuje odznaczenie z rąk gen. Sikorskiego (1942 r.)
Fot. Archiwum

działu, zwiększając jego stan do 320 ludzi. Podczas jednej z potyczek z Niemcami został ranny.

Żołnierze M. Fijałki organizowali samobronę polskich wsi przed napadami UPA i „bulbowców”. Do głównych akcji dowodzonej przez wyborową grupę dywersyjną AK ugrupowania „Wachlarz” należało też odbicie członków dywersji Armii Krajowej, więzionych w budynku policji i żandarmerii niemieckiej w Pińsku.

W formującej się w okolicach Kowli i Włodzimierza 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK porucznik M. Fijałka objął dowództwo 1 batalionu 59 pp. Dywizja toczyła ciężkie walki z Niemcami na Wołyniu, a następnie na Lubelszczyźnie, nierazko wspólnie z partyzantką radziecką i regularnymi oddziałami Armii Czerwonej.

Michał Fijałka zmarł 20 września br. po ciężkiej chorobie serca. Na cmentarzu komunalnym w Lublinie przy Drodze Męczenników Majdanka żegnali Go tłumy ludzi; byli wśród nich dawni żołnierze Armii „Kraków”, formacji „cichociemnych”, towarzysze broni z 27 Wołyńskiej, koledzy ze studiów, harcerze, mieszkańcy rodzinnej wsi Michała Fijałki.

Adam Hadrawa

Wieczory autorskie

NASZE rozważania zaczynamy od części pochwalnej. Trafiają się niestety, a nawet wspaniale wieczory autorskie. Opowiadałem o jednym z nich. W roku 1958, gdy byłem siedemnastolatkiem studentem historii, przyjechał do nas Władysław Broniewski. Wkroczył zamazany z cudownie skrzywioną twarzą i pięknym, uczuciowym głosem zaczął recytować swoje melodyjne wiersze. Nagle przerwał deklamację i oświadczył:

— U was w holu wisi wielki olejny portret Mickiewicza. Przechodziłem obok, wchodząc po schodach. Przechodziłem obok, jakby kłaniając mu się. Mickiewicz to geniusz. Może my, dwudziestowieczni poeci, nie jesteśmy godni nawet mówić o nim.

W oczach poety błyszczały łzy. Jego wzruszenie udzieliło się wszystkim. Broniewski recytował dalej, a my słuchaliśmy go jak proroka.

Interesujące też bywają spotkania z młodymi, ledwo zaczynającymi karierę, dobrze zapowiadającymi się, rokującymi nadzieję i tak dalej poetami. Ci ludzie, pełni złudzeń i nadziei, mówią z takim przekonaniem, w takim natężeniu (czy raczej „nabuzowaniu”), że najczęściej wypowiedzi ich są lepsze od ich wierszy. W każdym razie jest to bardzo urocze zjawisko.

Wieczory autorskie Zernickiego na początku lat sześćdziesiątych gromadziły w Toruniu tłumy studentów. Mistrz Janusz siedział owinięty długim szalikiem i tylko obsługiwał magnetofon, aparat wtedy jeszcze dość egzotyczny. Wierszy słuchano właściwie piąte przez dziesiąte, ale dyskutowano zażadle. Ja siedziałem i cieszyłem się, że mój kolega odgryza się tak sprytnie, krótko mówiąc siedziałem bardzo wzruszony.

Więcej dobrych wieczorów autorskich nie pamiętam. Impreza taka wyglądała na ogół tak, że jacyś faceci bez wielkiego nazwiska, bez wielkiego talentu, bez większego przekonania czytają fragmenty swoich utworów czy raczej wypracowań. Od razu widać, że całość jest jeszcze bardziej do luzu. Albo deklamują wiersze, w których nie ma ani rytmu ani sensu. Albo próbują mówić o literaturze i natychmiast wiadomo, że nie mają tu nic do powiedzenia.

Najbardziej jednak nie lubię własnych wieczorów autorskich. Od lat skutecznie wymigiwałem się od spotkań w mieście, gdzie chodziłem do szkoły podstawowej i średniej, a wiecniemał w mieście rodzinnym. Wreszcie mnie przydybano i zaszachowano argumentami nie do podważenia. Akurat ukazał się mój tomik wierszy, poza

tem po dziesięcioleciu remoncie, po awaryjnym maratonie budowlanym oddawano dom kultury do użytku. Cóż było robić? Przygotowałem sobie odczyt, żeby nie dukać fragmentów, które zniechęca tylko słuchaczy do ciekawości. W duchu też postanowiłem nie wymądrzać się specjalnie.

Lokalna prasa rozreklamowała tak to spotkanie, że dawni koledzy zatrzymywali mnie na ulicy i pouczali:

— Jasiu, już wpót do piątej. Nie spóźnij się.

Sami jednak najwyraźniej na to spotkanie nie wybierali się. Tymczasem w domu kultury powitano mnie jak księcia, co mnie natychmiast spłoszyło. Wysłannicy różnych regionalnych towarzystw wręczali mi starannie oprawione grafiki. Potem przekazano mi jakieś koperty.

— Tylko niech pan nie myśli, że to łapówki. To listy gratulacyjne — szepnął dowcipny mistrz ceremonii.

Następnie poetka wylansowana przeze mnie podarowała mi swój tomik oraz rocznik stołecznego dwutygodnika, w którym teraz pracuję. Dawni uczniowie mojej żony ofiarowali glińniany dżban i jakieś tam suweniry.

Bez przekonania sięgnąłem do swoich karteluzek. Po przeczytaniu paru zdań przerwałem lekturę i przystąpiłem do wyjaśniania. Prosiłem, żeby mi wybaczone, że czytałem z kartki, ale nawet starożytni mówcy przygotowywali swoje mowy na piśmie. Wyjaśnienie to przyjęto ze zrozumieniem. Dalej czytałem swój tekst, który wydawał mi się coraz nędzniejszy, coraz bardziej mętny. Reporterka radiowa nagrywała jednak wszystko sumiennie. To mnie trochę uspokoiło. No i wreszcie przystąpiliśmy do dyskusji.

— Jasiu — powiedział dawny znajomy jeszcze z pociągu repatriacyjnego.



Rys. Zygmunt Pyliński

go. — Podobno jesteś tu już od kilku dni, a ja cię widzę dopiero teraz. Co to jest?

— Czy pańska małżonka dalej pracuje w szkole? — pytali dawni maturzyści mojej żony, która wykładała tam aż w trzech szkołach średnich, bo była wtedy pełna zapалу, a także na dorobku.

No i tak od pytania do pytania dyskusja rozkręcała się na dobre. Jeden młody magister zaczął nawet mówić o uniwersalnych wymiarach literatury i sztuki. Tak tak, proszę państwa, ale to był jeden z nielicznych moich udanych wieczorów autorskich.

Janusz Olczak

NA KONCERTY Jacka Skubikowskiego nie ściągają tłumy fanów wystrojonych w szatki punków i hipów, jak na meandrach rockowe. On sam najchętniej śpiewa w niezbyt dużych salach. Na scenie zjawia się z gitarą i dwoma mini-komputerami Korga i Rollanda. Działając w pojedynkę, potrafi Skubikowski skutecznie zainteresować słuchacza, dostarczyć mu wielu emocji i wrażeń. Krytycy twierdzą, że posiadał on do perfekcji język country i bluesa. Po jednym z gorąco przyjętych przez lubelską publiczność koncertów poprosiłem go o wypowiedź.

— Jak to się dzieje, panie Jacku, że prawnik zamiast do sądu trafia na estradę?

— Nie należy posądzać o to losu. Po prostu zwyciężyła we mnie silniejsza skłonność. Muzyką zainteresowałem się od początku studiów. Grałem, śpiewałem i to zajęcie zaczęło nabierać dla mnie coraz większego znaczenia. Ostatecznie nie zostałem magistrzem praw, tylko muzykiem.

— Muzykuje pan od dziesięciu lat. Nie dopiero od niedawna mówi się o Jacku Skubikowskim jako o samodzielnym talencie estradowym. W czym ujęciu pan ten przytył popularności?

— Początkowo uprawiałem nieco inną muzykę niż obecnie. Grając przez dziesięć lat na banjo w zespołach jazzu tradycyjnego (Come Back, Hot Lips i Royal Rag), miałem oczywiście krag znajomych i sympatyków, ale nie taki mój liczny. A że oprócz jazzu lubiłem zawsze amerykańską muzykę ludową, zacząłem przemycać do programu ballady folk i country. W 1978

roku założyłem z kolegami zespół Country Family, sławny dzięki aranżowanej przez mnie płytce i kasecie „Clementine”. Powodzenie obu wydawnictw przekonało mnie o sensie kontynuowania wysiłków w tym właśnie kierunku. Jeździłem sporo po kraju i koncertowałem na różnych przeglądach muzyki folk i bluesa. Na początku śpiewałem standardy w języku angielskim. Potem spróbowałem pisać własne piosenki. Właściwie zdołingo-

na. Na plan pierwszy wysunęła się scena.

— Czy spotkał się pan już z opinią, że pańska gra na gitarze przypomina błyskotliwe popisy Marka Knopflera z Dire Straits?

— Tak, ale uważam, że jest to pogląd niesłuszny. Nigdy nie myślałem naśladować Dire Straits. Natomiast fascynowali mnie bardzo, i tak jest do dziś, bluesmani typu J. J. Cale'a i Erica Claptona. Należy się Czytelnikom

W rytmie country-bluesa

wał mnie do tego stary druh, Piotr Niewiarowski, organizator poznańskich „Folk-Blues Meetingów”. Kiedy montował zespół Lombard, namówił mnie do przygotowania kilku pozycji repertuarowych dla nowej grupy. Później pisałem dla Martyny Jakubowicz, Krystyny Prońko i zespołu Klincz. Okazało się, że potrafię komponować całkiem zgrabne piosenki, zyskujące nawet akceptację festiwalowych jurorów. Teraz tworzenie nowych utworów traktuję jako działalność ubocz-

ne. Wyjaśnienie, że Knopfler nie wynalazł zupełnie nowej muzyki, a tylko oparł się na amerykańskim bluesie i country, w tym również dokonaniach J. J. Cale'a. Stąd ohyba mamy podobne inspiracje, ale wykonanie muzyki inne. Przede wszystkim różni nas harmonia.

— Po sukcesie na festiwalu opolskim, gdzie obdarzono pana nagrodą za „Jedyny hotel w mieście”, słuchacze czekają na pański debiut płytowy. — Nastąpi on prawdopodobnie lat-

tem przyszłego roku. Mam za sobą właśnie sesję nagraniową materiału dla firmy WIFON i jestem w trakcie realizacji drugiej sesji, tym razem dla Savitora. WIFON wyda longplay „Jedyny hotel w mieście” z dziewięcioma kompozycjami mego autorstwa. Wśród znanych z anteny tytułów (m.in. „Niebo — dobre miejsce dla naiwnych”, „Gram do stróżu”, „Mucha i lep”, „Siódma droga, siódmy most”) będą również cztery premiery. Natomiast Savitor zamierza uraczyć fanów płytą w języku angielskim, także z dziewięcioma tytułami. Jestem jeszcze zbyt zaabsorbowany tymi nagraniami, więc trudno mi o dalsze sesje. Myślę, że zrobią to za mnie słuchacze.

— Czy chce pan, wbrew Donoanowi, być muzykiem samotnie starzejącym?

— Staram się nie powielać na scenie zachowań czy dżonów sławnych postaci, a więc i Donoana. Po prostu kiedyś doszedłem do wniosku, że sama potrafię napisać sobie cały program, zagrać i zaśpiewać. Nie muszę więc narzekać na niesolidnych współpracowników. W trasie koncertowe zabieram tylko żonę. Jedynymi współgrykami na scenie są mini-syntezatory w roli elektrofonowego perkusisty i basisty. Praktycznie z ich pomocą od niedawna, ale potrafią się dobrze. Są o tyle wygodni, że mają elektroniczną pamięć, zdolną do zakodowania dowolnych przebiegów rytmicznych i wielokrotnego ich powtarzania. To bardzo ułatwia mi pracę.

— Ostatnie pytanie należało do postawie pańskiej scenie. Czy to dla pań jest równie wesoły jak na scenie?

— Humor był zawsze moją...
Rozmawiał: Istvan Grabski

Pamflet na studenta

Dokończenie ze str. 1

sojji, nie stawia głębszych pytań na ćwiczeniach. Asystenci, którzy je prowadzą, chętnie udzieliłoby mu na nie odpowiedzi, ale wiara z grupy uważałaby go za kujona. Woli więc siedzieć cicho. Pokrzyżować lubi podczas dyskusji, gdy kumpel z piętką ma choć na jego dziesięć. Impreza za imprezą. Sesja za sesją i jest już na trzecim roku.

Przeostaje chodzić na zajęcia. Ponad wszelką miarę ceni długi sen i towarzysztwo przyjaceli. Nie interesuje go prawie nic. Nie czyta, unika teatru,

wystaw, koncertów. Od czasu do czasu wdojnie do kina. Najchętniej na film nieco rozbierany. Z rozbiorem Polski ma sporo kłopotów, funkcje matematyczne są dla niego tak samo pozabawione sensu jak robienie czegośkolwiek, co wymaga odrobiny aktywności. Z ironią odnosi się do kolegów zezeszonych, sztydł z tych, którzy kierowani pasją, spędzają wolny czas robiąc studencką gazetę lub wystawę fotograficzną.

Zdziwiony, że poszło tak łatwo, odbiera indeks z wpisem na czwarty rok. Letnią praktykę udało mu się odbyć w małym urzędzie. Dzięki kilku toastom mógł być w tzw. międzyczasie na Mazurach. Ciągle narzeka na brak czasu i kolejki w sklepach. Niczego nie można dostać o odpowiedniej porze, bez pomocy koleżanki, której mama pracuje w „Delikatesach”. Kiepskie stopnie z egzaminów nie przejmują go. Ważne, że będzie

tylno „z wyższym”. Czasami próbuje skrócić sobie tego, czego nauczył się wcześniej. Pamięć niewiele, przesła zawsze był ktoś pod ręką, o kogo było można „zwać”.

Trzeci raz zmienia temat pracy. Pierwszy wydał mu się zbyt banalny, drugi za obszerny. Trzeci gdzieś się po prostu zawieruszył. Z niepokojem myśli o finale. Ale skoro wymagano od niego mało dotychczas, jakoś sobie da radę. Gwarantuje na obronę już ma. A to przecież najważniejsze. Znajomi „oddali” ostatnią sesję. Woleli uniknąć roboty i wojska. On chce skończyć studia. Znudziły mu się wieczne puste kleszenie. Brak pieniędzy nie pozwalał na rozszerzanie zainteresowań. Trudno zresztą imponować znajomością historii automobilizmu nie mając własnego wózka.

Wreszcie ma dyplom. Najbardziej cieszy własną podobizną w dokumencie. Przystojny i ambityny. W tak trudnych czasach zrobić przez cztery lata papier, to sztuka. Zaraz, zaraz, jak brzmiał temat pracy magisterskiej? Ważne, że powstał w wyższej uczelni. Prawda, polski studentie?

Artur Borkowski

CO JEST PRAWDĄ W KINIE ?

CO JEST prawdą, a co kłamstwem na ekranie? Gdzie przebiega granica między filmową fikcją mającą ukazać prawdę o człowieku uwikłanym w otaczającą go rzeczywistość a efektem twórczej wyobraźni reżysera usiłującego kreować fikcyjne światy? Czy w ogóle istnieje dla reżysera i aktorów, w okresie realizacji filmu, jakiś odznaczający się przedział pomiędzy tym światem, który egzystuje „na planie” w świetle jupiterów, w zasięgu widzenia filmowej kamery — a ich prywatną ludzką egzystencją po zejściu z planu filmowego? W którym miejscu filmowy kreator, wyposażony, z racji swojej funkcji, w niecodzienne uprawnienia, z twórcy zaczyna przelatać się w tyrańca, igrającego postaciami i losami podległych mu ludzi? Oto pytanie, które stawia i na jakie usiłuje odpowiedzieć amerykański reżyser Richard Rush w filmie „Kaskader z przypadku”.

Rush wykorzystuje stary i wielokrotnie ograny pomysł „kina w kinie” — na różny sposób podejmowany przez twórców filmowych, a zawsze — nawiasem mówiąc — znajdujący wdzięczne przyjęcie ze strony publiczności.

W „Osiem i pół” — pisał Konrad J. Zarębski w „Filmowym Serwisie Prasowym” — Federico Fellini prezentuje reżysera jako wrażliwego odbiorcę sygnałów pochodzących z najbardziej intymnych sfer ludzkiej jaźni, wzbogacającego pozafilmową rzeczywistość o własne doświadczenie. Bohater „Nocy amerykańskiej” Francois Truffaut ulega ingerencji rzeczywistości w kreowany przez siebie świat filmowej fikcji, nie mogąc zrealizować pierwotnego zamiaru musi zadowolić się tym, co zdołał z niego ocalić. Andrzej Wajda w filmie „Wszystko na sprzedaż” ukazuje silny związek reżysera z aktorem; odtwórca jest nie tylko medium, ale i niezastąpionym partnerem-inspirowatorem twórczym. Dodajmy jeszcze do tego, od siebie, postać reżysera z początków kina niemego, ukazaną tak pięknie przez Rene Claira w filmie „Milczenie jest złotem”, tego starzejącego się człowieka, dla którego wynalazek kinematografu stał się okazją do znalezienia sobie życiowego azylu.

Reżyser Eli Cross z filmu Richarda Rusha to — w odróżnieniu od uprzednio wymienionych — postać potraktowana w zupełnie inny sposób. W tamtych filmach reżyser przedstawia się jako pokorny sługa Sztuki, działający w imię celów najwyższych, znajdujący satysfakcję w wypełnianiu luki między rzeczywistością a światem ideał. W „Kaskaderze z przypadku” reżyser-bohater nie pragnie wcale być wiernym poddanym X Muzy, przeciwnie: on chce używać możliwości kina, i swojej — w jego obrębie — pozycji, dla kreowania własnej, podległej jego wyobraźni, rzeczywistości. Obracając środkami, jakie zapewniają filmowi producenci, wykorzystuje je nie dla celów kręconego filmu, ale — de facto — dla własnych celów. Trzeba przyznać, że na taki pomysł nie wpadł jeszcze dotąd, przed Rushem, nikt.

„Kaskader z przypadku” to film opo-

wiadający — na kanwie wojenno-kaskaderskiej fabuły kręconej na „filmowym” planie — historię okrutnej zabawy w kota i mysz, tym pierwszym — jest wszechwładny reżyser, ta druga — kaskader „z przypadku”, młody człowiek, który skrył się wśród członków ekipy filmowej, uciekając przed pościgiem policji. Reżyser ratuje go, ucha- rakteryzowawszy na zawodowego kaskadera z ekipy, który zginął podczas kręcenia jednej ze scen filmu. Ale dlatego właśnie staje się bezdyskusyjnym „panem i władcą” uciekiniera. Sprawdzając swój bezmiar władzy nad podległym mu w ten sposób człowiekiem, zmusza go do wyczynów coraz bardziej karkołomnych, coraz bardziej niebezpiecznych. W końcu cała machina filmowa zaczyna być podporządkowana temu swoistemu, okrutnemu doświadczeniu. W założeniu — antywojenny film zaczyna się przesadzać w film kaskaderski, jedynie osadzony w wojennym pejzażu. Lecz przy tym wszystkim wynikają kolejne zależności: reżyser-tyran, ulegając coraz większej fascynacji swoją ofiarą, sam staje się jakoś podporządkowany. Wreszcie: ofiara niepostrzeżenie zaczyna ulegać magii kina — to, co początkowo dla młodego, zaszczutego Camerona było torturą, z czasem staje się pociągającym narkotykiem. I on też przekroczył ów zaczarowany krag, w którym prawda bywa fikcją, a fikcja — prawdą, gdzie realność miesza się z baśnią, a baśń nosi cechy prawdopodobieństwa...

Opowiedziana w powyższy sposób historia sugerowałaby, że „Kaskader z przypadku” jest filmem z gatunku psychologicznych. Być może takie też było założenie starego specjalisty od pełnych brutalności westernów i „motocyklowych” filmów (których bohaterami byli Hell Angels), uważanego za prekursora amerykańskiej „nowej fali” — ponad pięćdziesięcioletniego już dzisiaj, Richarda Rusha. Niestety tak nie jest. Rush nie potrafił zachować należytej proporcji pomiędzy lawiną filmowych tricków, kaskaderskich popisów i pirotechnicznych efektów, a filozoficzno-psychologicznym założeniem. Które zresztą na ekranie jawi się dość błado i prymitywnie. W ostatecznym rozrachunku — nie reżyser zapanował nad tematem, tylko kino wraz z podjętym tematem pochłonęło reżysera. Chyba, że cała filozoficzna „nadbudowa” naszego „Kaskadera z przypadku” miała być tylko zamydleniem oczu krytyce i bardziej wymagającej publiczności... W każdym razie zgadzam się całkowicie z Wacławem Świeżyńskim, kiedy pisze on na łamach „Filmu”: Natrętne filozofowanie wprowadza do filmu Rusha ton pretensjonalności, tworzy szczelinę między tym, co tu naturalne, poczęte z ducha przygody, sensacji, cyrku — a tym, co przypomina sztubacki wykład psychoanalizy, wygłoszony na imieninach u cioci. Na szczęście odnajdujemy na ekranie dostatecznie wiele istic komiksowej werwy i dowcipu szczerzej radości z zabawy u kino byśmy pamiętali twórcom owe pozy myślicielei.

No i warto poza tym obejrzeć na ekranie Petera O'Toole, Steve Railsbacka i śliczną Barbarę Hershey.

M.D.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO

PROZA

Witold Hozak: Po drugiej stronie albu. Dziennik inżyniera LZW. Str. 424, cena — 150 zł.
Zbigniew Koźmiński: Przez mgłę. Powieść. Str. 240, cena — 85 zł.
Włodzimierz Małycki: Jedwabny sznur. Powieść. Przekład z ukr. — Kaja Natalia Sakowicz. Stron 332, cena — 120 zł.
Marian Pankowski: Matuga idzie. Przygody. Powieść. Str. 212, cena — 130 zł.
Henryk Podlaski: Pejzaż z nieboszczykiem. Powieść sensacyjna. Str. 174, cena — 68 zł.
Taras Szewczenko: Przejazdka z przyjemnością i nie bez moralu. Powieść. Przetłumaczony z ukr. Jerzy Jędrzejewicz. Str. 192, cena — 70 zł.
Witold Urbanowicz: Latające tygrysy. Wspomnienia lotnika. Str. 246, cena — 70 zł.

POEZJA

Ewa Szelburg-Zarembina: Baśń o Czerwonym Kapturku. Ilustrowała Danuta Imielska-Geberthner. Str. 16, cena — 10 zł.
Ewa Szelburg-Zarembina: Baśń o kocie w butach. Ilustrował Włodzimierz Krusiewicz. Str. 24, cena — 12 zł.
Wiedź Twarz (VII) Wybór, słowo wstępne i opracowanie: Roman Rosiak. Str. 396, cena — 20 zł.

Szyfrogram literacki

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12			
13	14	15		16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	
		27	28		29	30	31	32		33	34	35	36	37	38
39		40	41	42	43	44	45	46	47	48		49	50	51	52
53	54	55	56		57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67
		68	69	70	71	72		73	74	75	76	77	78	79	
80	81	82	83	84	85	86	87	88	89		90	91	92		93
94	95	96	97	98	99		100	101	102	103	104			105	106
107	108	109		110	111	112	113	114	115	116	117	118		119	120
121	122	123	124	125	126	127	128		129	130	131		132	133	134
135	136	137	138		139	140	141	142	143	144	145	146	147		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 10 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami tekstu a podwójne — między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze:

- przyprawa do flaków — 13. 49. 129. 116. 20.
- filozof z Eled — 10. 83. 52. 17. 44.
- mleki — 11. 1. 52. 85. 34. 139.
- głupstwa do pleceni — 23. 75. 109. 47. 9. 27. 111.
- wielka rzeka w Afryce — 16. 41. 124. 73. 145.
- śpieliwli Polacy pod Grunwaldem — 19. 2. 22. 147. 106. 113. 45. 70. 58. 98. 28.
- dawny przeciwnik — 28. 73. 95. 71. 144. 37. 43. 6. 76.
- pomyłka — 80. 56. 139. 93.
- wysyłka towarów — 5. 119. 84. 3. 30. 72. 130. 137. 36. 46.
- górn lodowa — 59. 94. 24. 74. 141. 125. 25. 8.
- hydrocefalia — 25. 7. 114. 81. 31. 92. 28. 66. 4. 39.
- daje ognia w tańcu — 105. 120. 143. 80. 135. 123. 64. 55.

- trzeba go przybić kółkiem do trumny — 134. 86. 82. 40. 127. 131. 67. 103.
 - jednoślady — 23. 63. 110. 133. 28. 91. 57. 121. 117.
 - jeziro przybrzeżne na Pobrzużu Sto-wińskim — 29. 142. 48. 82. 15.
 - stop miedzi i cynku — 15. 58. 123. 63. 79. 138. 140.
 - będzie z niego kwiat — 68. 99. 87.
 - stynie konfederacja z królem Leszczyń-skim — 132. 107. 77. 126. 96. 54.
 - wymiar godzin sajeć nauczyciela — 106. 122. 115. 81. 104. 118.
 - rogacizna — 12. 21. 97. 102. 53.
 - pustyńna aa pd. Izraela — 145. 60. 111. 108. 29.
 - duża nakrętka — 42. 161. 14. 68. 51.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 23) 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki-szyfrogramu nr 26 „Spraw ostatecznych nie mierzy się ani szczęściem, ani smęka Sobą. Wzeczerać siebie do końca, zanim się umrze. Byłem bito do utraty przytomności. Mimo to chciałem zostać sobą.”

Włodzimierz Sokorski
Zostać sobą!
Nagrodę otrzymuje Jan Trusz, ul. Stołeczna 11/87, 01-595 Warszawa.



Aleksander Dumas — ojciec — był niezwykle dumny ze swego syna. Kiedyś jeden ze znajomych pisarza uzalał się na własnego syna-nieponia: — O, gdyby mój syn był taki jak pański! — Widzi pan — odparł Dumas — takich synów, jak mój, trzeba wytwarzać samemu.

Słynny Yves Montand zmarł pewnego razu w nie opalonym pokoju londyńskiego hotelu. Dzwoni więc ze skargą do portierni. Odpowiada mu przyjemny głos kobiety: — Bardzo mi przykro, proszę pana, ale teraz nie mogę stąd odejść.

Kiedy królowi Anglii, Karolowi I, przedstawiono Thomasa Parra, który miał wówczas 152 lata i przeżył dziesięciu władców Anglii, król był w złym humorze: — Co robiłeś innego niż ludzie, którzy nie dożyli tak sędziwego wieku?! — zapytał cierpko starca. — Wasza Królewska Mość — odrzekł Parr — w 120 roku życia zostałem oskarżony o ojcostwo i ... skazany!

Służąca wpada kiedyś do gabinetu Balzaca: — Proszę pana, w kuchni wybuchł pożar! Pisarz na to: — Proszę powiedzieć to mojej żonie. Nie zajmuję się gospodarstwem.

Wyszperał: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Boćian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Biepiń (korespondent), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie wstraca materiałów ale zamówionych i zastrzeżona sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 23-20. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PGEW w Lublinie, ul. Unicka 6. Adres redakcji: 20-629 Lublin ul. Skłodowskiej 47. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny 438-83, sekretarz redakcji 113-23, dział publicystyki i literacki 771-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

BRUCE LEE: prawda i legenda

— 10 —

Gra śmierci

W tradycyjnym wstępie, poświęconym listom, sygnałom i opiniom naszych Czytelników, z prawdziwą satysfakcją odnotowujemy powstanie w Klubie „CENTRUM” (Lublin, ul. Junoszy 43) pierwszego, o jakim wiemy, fan klubu Bruce'a Lee. Zapraszamy jego inicjatorów i twórców do redakcji (po przednim telefonicznym skontaktowaniu). Wydaje się, że jest to właściwa forma poznania fenomenu Małego Smoka, jego postaci i zjawisk towarzyszących. Fakt, o którym wyżej, i nasza informacja z adresem fan klubu wyczerpuje, jak sądzimy pytania Ewy Brzech (Koszalin), Marioli Tomalik (Falenica), Danuty Zuber (Lublin) odnośnie istnienia takiego klubu. Gdzie zdobyć książkę „Bruce Lee's Fighting Method”, napisaną przez naszego bohatera i Mito Uyehara (nb. Iwii część pracy spada na drugiego ze współautorów już po śmierci Małego Smoka), nie wiemy. Autor cyklu dysponuje trzecim wydaniem z 1977 roku, edytora Ohara Publications, Inc., Burbank California. O ile wiemy, pozycja ta, uznawana za elementarz Jeet Kune Do, została wydana także po niemiecku, włosku i francusku (edytorów nie znamy). Odnośnie udostępnienia wspomnianej książki, o co prosili Tomasz Kutnik i Wojciech Luczyński (oba Cheim), informujemy, że jest to możliwe jedynie na miejscu (w redakcji „Kamienia”), po przednim skontaktowaniu telefonicznym. Łukaszowi H. (Puławy) nie możemy odpowiedzieć, na ile szacuje się majątek Lindy Lee, wdowy po Małym Smoku. Należy sądzić, iż jest to kwota kilku milionów dolarów, zwąszywszy liczne wydania wspomnianego idola, wymienianej już pozycji „Bruce Lee's Fighting Method”, liczne programy telewizyjne o twórcy JKD oraz filmy szkoleniowo-dokumentalne itd. Sprawiają one, że rodzina Bruce'a bieda na pewno nie kłopot. Zresztą sławę ojca umiarkowanie zaczyna dyktować Brandon Lee, który pod kierunkiem Danny'ego Inosanto zdobywa kolejne stopnie wajeimniczenia i dany w JKD oraz od dwóch lat zaczyna się pokazywać publicznie. Odpowiadając na pytanie Zbysława Mireńskiego z Poznania, informujemy, że nie wiemy nic o książce poświęconej Bruce'owi Lee wydanej w Polsce. Na drugie pytanie, czy nie przygotowujemy książkowego wydania naszego cyklu publikowanego w „Kamieniu”, odpowiadamy: nie zależy to tylko od nas samych, choć pewne poczynania w tym kierunku zostały podjęte. Tradycyjnie, przypomnienie o konkursie na najciekawsze wypowiedzi nt. „Dlaczego Bruce Lee?” oraz o nagrodach pieniężnych dla autorów najciekawszych z nich (nie mówiąc o publikacji w „Kamieniu”).

RAYMOND Chow, po uregulowaniu spraw spadkowych związanych ze śmiercią swego przyjaciela i — niewątpliwie — dobroczyńcy materialnego (niektórzy określają wartość tej dobroczynnej współpracy na 5-7 mln. dolarów amerykańskich, według wartości z 1973 roku) pomyślał, że w zasadzie należałoby zdyskontować materiał filmowy, nakręcony do „Gry śmierci” jeszcze przed rozpoczęciem realizacji „Wejścia Smoka”. Już w końcu 1973 roku zwrócił się do Lindy z prośbą o zgodę na dokończenie filmu. Odmówiła stanowczo. Zaproponowała nawet odkupienie nakręconego materiału. Na to jednak nie chciał przystać Chow. Sprawa zawiśła w próżni. Producent obawiał się, że boom na Małego Smoka minie po roku, dwóch i wtedy remake będzie nieaktualny. Myślił się.

W 1978 roku, kiedy obrazy z Małym Smokiem nadal przynosiły potężne zyski, a na świecie powstawały tysiące fan klubów i ośrodków szkolenia Jeet Kune Do, Raymond Chow znów ponowił prośbę dokończenia „Gry”. Linda wyraziła zgodę, ale pod warunkiem zmiany tytułu, mocno aluzyjnego i dającego pole do spekulacji. Ostatecznie prasa została poinformowana o „dokreślenie” i narobiła sporo szumu, używając... starego tytułu „Gra śmierci”. Pisano przy tym, że tytuł ten został wybrany przez samego Bruce'a. Nie wiadomo, na ile sterował tym Chow, ale powstała sytuacja praktycznie nie dająca Lindzie żadnego pola manewru (no bo jak mogłaby oficjalnie przeciwstawić się woli i wyborowi męża?). Polityka faktów dokonanych okazała się skuteczna i w błyskawicznym tempie zabrano się do realizacji.

Czym dysponował reżyser Robert Clouse, biorąc się do roboty? Jeżeli chodzi o sceny walki, a było ich około 20 minut (wg innych źródeł ponad 35 minut, z których część zniknęła miała z archiwum), zaangażowanie zdjęciowe przekraczało 60 procent. Gorzej było z sekwencjami fabularnymi, których Bruce Lee zdążył nakręcić bardzo niewiele, bowiem — jak pamiętamy — zrezygnowano z realizacji „Gry śmierci” na rzecz „Wejścia Smoka”. Na tej podstawie zdjęciowej należało zbudować pełnometrażowy obraz fabularny. Oczywiście zmianie musiał ulec scenariusz Iana Spearsa. Postaramy się przedstawić te perypetie.

Bohaterem filmu jest Billy mistrz wschodnich sztuk walki i popularny aktor filmowy. Słowem: idol i bożyszcze tłumów. Nietrudno dociec, iż jest to filmowa postać Bruce'a. Ów bohater przystępuje właśnie do kręcenia kolejnego filmu. Miejscem realizacji jest jakiś azjatycki kraj (zapewne Hongkong). Wszystko byłoby fajnie, ale aktorom w owym kraju urządziła tutejsza organizacja gangsterska, wymuszająca okupy za „opieki” sterujące wyborem scenariuszy do realizacji obsada ról itd. Billy zostaje wezwany do zastąpienia do owej mafii filmowej, ale tego nie robi. Stara się natomiast umiejętnie schodzić z drogi bandzie. Uważny Czytelnik serialu być może dostrzeże tu analogie do zataśowania Bruce'a z imperium filmowym braci Show. Wkrótce gang przechodzi od metod perswa-

zji słownej do czynnej. Naświetlani są na Billy'ego facyci spod ciemnej gwiazdy, którzy kończą jednak marne, bo bohater zna swój facha dobrze. Sceny walk prowadzonych z gangsterami realizowane przez Bruce'a uchochodzą za jedne z najlepszych, jakie oglądano w jego wykonaniu.

Oprócz rękoczynów, a właściwie zamiast nich (po stwierdzeniu klasy Billy'ego), bandycki szkykują inną niespodziankę. Podczas zdjęć na planie spada z góry reflektor i uderza w ziemię dostownie o kilkanaście centymetrów od aktora. Billy czuje się wykończony psychicznie i radzi się swego przyjaciela, dziennikarza Jima Marshalla, co ma zrobić. Po rozmowie postanawia nie poddawać się. Widac jednak, że sytuacja zagrożenia wyczerpuje go nerwowo. I to jest pewne novum w celuloidowych postaciach supermanów kreowanych przez Bruce'a. Billy jest wrażliwy, boi się, ma swoje strasy. Jest bardziej ludzki, choć nie tak wspaniały i perfekcyjny jak w „Wielkim Szeffie”, „Wściekłych Pieściach” czy „Drodze Smoka” i „Wejściu Smoka”.

I tu kończą się zdjęcia z Bruce'em. Zaczyna się problem.

To, że należy znaleźć dublera, jest dla Raymonda Chow i Roberta Clouse oczywiste. Prowadzą więc intensywne poszukiwania, a Ian Spears modyfikuje całą story. W końcu — w wyniku 4-miesięcznych eliminacji — zaangażowanych zostaje trzech ludzi mających zastąpić Smoka. Tae Jeung Kim jest Koreańczykiem. Od 11 lat ćwiczy wschodnie style walki i prezentuje budzące podziw umiejętności w kilku-nastu rodzajach walki (Taekwon-do, Karate, Kendo, Kempo, Judo, Nunchaku itd.). Jest podobny sylwetką, wzrostem i aparycją do Bruce'a. Ma jednak mniej żywą mimikę. Ten mankament ma nadrobić Chińczyk Sammo, zawodowy kaskader i aranżer walk. Przy tym o twarzy bardzo podobnej do Smoka i wspaniałej mimice. Trzecim „muszkieterem” jest człowiek znany tylko z pseudonimem „Turkey” (pol. Indyk), zaangażowany ze względu na niesłychaną sprawność fizyczną i odwagę graniczącą z utratą instynktu samozachowawczego. „Indyk” aby zademonstrować swoje umiejętności,

wyskoczył w obecność Raymonda Chow z drugiego piętra, bez żadnego zabezpieczenia. Gros pracy zdjęciowej ma spocząć na Kimie. Oprócz tego z Hollywood przylatuje kilkunastobobowa grupa zawodowych kaskaderów ze Stunts Unlimited, wyspecjalizowanej firmy zajmującej się takimi właśnie usługami. Jeden z nich zostanie ciężko ranny w czasie zdjęć, dwóch — lekko, a kilku odniesie kontuzje wymagające interwencji lekarskiej.

Robert Clouse każe budować, kosztem 36 tysięcy dolarów, amfiteatr na 11 tysięcy widzów, gdzie rozegrane będą filmowe mistrzostwa świata w Karate.

Po tych przygotowaniach wszystko leci według scenariusza. Billy zostaje napadnięty przez trzech motocyklistów i toczy z nimi fantastyczną walkę w pełnej szybkości. Intruzi zostają chwilowo pokonani, wracają jednak i przy pomocy szefa gangu pokonują Billy'ego. Zostaje on poddany wymyślnym torturom, m.in. ścisnaniu metalowym pasem. Gangsterzy są przekonani, że zmieniło to jego stosunek w przedmiocie sporu. Niestety, idol pozostaje niezłomny, mimo że poturbowany. Wraca do zajęć na planie filmowym. W czasie kręcenia sceny walki z użyciem broni ktoś wymienia amunicję ślepą na ostrą i Billy zostaje ciężko zraniony (m.in. w głowę). Odwożą go do prywatnej kliniki wskazanej przez redaktora Marshalla. W niej rodzi się pomysł bluffu...

Po kilku dniach prasa przynosi wiadomość, że Billy zmarł w wyniku otrzymanych ran. Odbywa się pogrzeb z udziałem tłumów wielbicieli. Są to sekwencje z prawdziwego pogrzebu Bruce'a Lee (I). Nikt nie wie jednak, że Billy żyje, a w trumnie znajduje się inne ciało. Wraca on szybko do zdrowia. Poddaje się operacji plastycznej, zmieniającej wygląd pokancerowanej w zamachu twarzy. Latwo zgadnąć, iż sekwencja ta jest celowym zabiegiem scenariuszowym „usprawiedliwiającym” inną fizjonomię bohatera „Gry”. Użyteczną jej Kim i Sammo.

W nowej postaci Billy szkykuje zemsztę gangowi. Najpierw dopada w parku szefa grupy i po krótkiej walce zaczyna go dusić. Nadbiega jednak obstawa i mściciel musi uciekać. Billy ma także swoją dziewczynę. Jest to kolejne novum, bowiem w poprzednich obrazach erotyczne zaangażowanie Smoka równo było zeru. Dziewczyna dowiadyuje się, że Billy żyje, dociera do niego przez redaktora J. M. i przekonuje, jak umie, że pomoże mu w zemście. Billy nie byłby mężczyzną i Chińczykiem, gdyby przyjął pomoc słabej Istoty. Woli sam, oko w oko załatwiać porachunki, choć skądinąd wiadomo, że kobiece metody też odznaczały się (i nadal) dużą skutecznością. Niestety, okazuje się, że o spotkaniach Billy'ego z dziewczyną wie organizacja. Wkrótce też narzeczona herosa zostaje porwana, a dziennikarz Marschall otrzymuje cynk, że nie się dziewczynie nie stanie, jak Billy zgłosił się do gangsterów (oczywiście zupełnie sam i bez broni).

Bohater nie waha się ani minuty i przybywa na umówione miejsce, skąd zostaje odtransportowany do tajemniczej pagody. Tam dochodzi do walki z trzema mistrzami wschodnich stylów.

Pierwszy używa Nunchaku. Tu fragment walki został nakręcony z Bruce'em. Przeciwnikiem jest niejaki Stelner (Hugh O'Brien). Pojedynek jest krótki i wróg zostaje uduszony łańcuchem łączącym obie pałki Nunchaku. 1:0.

Drugi wróg nazywa się Hakim, a gra go wspaniały koszykarz amerykański, Kareem Abdul Jabbar (214 cm wzrostu). Tu również częściowo kręcono zdjęcia z samym Smokiem. Początkowo Billy jest onieśmielony wzrostem



Dubler Małego Smoka Koreańczyk Tae Jeung Kim.

Reprodukcja: Jacek Mirosław

Murzyna i zasięgiem jego kończyn. Kilkakrotnie zostaje trafiony, ale uparcie dąży do zwarcia, w nim upatrując szansy powodzenia. W końcu dostęga szyi Goliata I. Jest po walce. 2:0.

Oba wspomniane pojedynki toczą się na kolejnych piętrach pagody. Na trzecim Billy zostaje samego szefa, który stara się uciec po drabinie, ale spada z łatwym do przewidzenia skutkiem 3:0.

Clou dalej „Gry śmierci” jest jednak pojedynek Billy'ego z niejakim Carlem Millerem, championem Karate. Tenże Miller walczy na arenie mistrzostw i pokonuje jakiegoś Chińczyka, po czym zostaje triumfalnie zainiesiony do szatni. Miller (gra go Bob Wall) oddawał swoje umiejętności gangsterom i teraz czeka go niemila niespodzianka. W szatni jest Billy. Dochodzi do walki, w której dubler, Małego Smoka stara się dorównać swemu poprzednikowi i w znacznej mierze mu się to udaje. Final jest oczywisty, Miller ginie, choć bardzo długo odpiera kolejne ataki. 4:0, po wspaniałym, zapierającym dech pojedynku.

Po zlikwidowaniu szkyki Billy może wrócić do filmu i kontynuować karierę. Być może tak uczyni. Nie to jednak stanowi punkt filmu. Jest nią piękny „Taniec Smoka”, w którym zawiera się (a na pewno tak chcieli realizatorzy) symbolika i mistyka filozofii chińskiej. Owo ciągłe dążenie do abstraktu, jakim jest jedność ducha i ciała oraz całkowite nad nimi zapanowanie i w tym miejscu nie od rzeczy będzie przypomnienie wyznania starego mistrza Kung-fu, który umierając powiedział, że starał się osiągnąć mistrzostwo w walce ze Smokami i całe życie poświęcił temu jednemu celowi.

Realizacja „Gry”, o czym musimy cały czas pamiętać, stanowiła bardzo trudne zadanie montażowe. Dubler Bruce'a musiał ze swoją akcją (będącą dokończonym akcją Smoka) być dla widza nierozpoznawalny, w pełni autentyczny. Zeby wzmocnić wrażenie obecności Małego Smoka, w montażu „Gry” wykorzystano sceny z jego innych filmów, m.in. pojedynek z Chuckiem Norrisem w „Drodze Smoka”. Pojawiały się one na zasadzie retrospekcji. Innym zabiegiem formalnym łączącym autentyzm z umownością, było pokazywanie postaci lub twarzy Bruce'a w drugim lub dalszym planie. I tak, kiedy filmowy Billy (Kim) walczy z Millerem (Wallem), w tle ukazują się twarz Małego Smoka. Wydaje się, że ostateczna wersja „Gry śmierci” stanowiła optimum tego, co można było, operując się na fragmentarycznym materiale oryginalnym, uzyskać.

Również samo zakończenie, scena finałowa wieńcząca ten ostatni film Małego Smoka, ma wymiar symboliczny. Pojawia się jego zdjęcie powoli wypełniające wielkość całego ekranu. I to jest rzeczywiste rozstanie z Bruce'em Lee. W trzy lata po śmierci. Owo rozstanie trwało dokładnie 100 minut. Producentem był Raymond Chow, reżyserem Robert Clouse, scenarzystą Ian Spears, grafikami Danny Inosanto, Kareem Abdul Jabbar, Gig Young, Mel Novak, Bob Wall, Roy Chalo, Dean Jagger, Hugh O'Brien i inni, muzykę napisał John Barry.

Zadbane też, aby legenda Bruce'a Lee nie przemieniła wraz z jego ostatnim filmem, dlatego zapewne w jednej ze scen mówi on do swojej dziewczyny: „Mój film już się kończy i niedługo zejść ze sceny”. Istotnie, zszedł z niej na zawsze, a wypowiedź była później wielokrotnie przytaczana jako przeczcucie śmierci, która w sobie nosi i z którą być może naprawdę toczył realną grę.

Odpowiedź na pytanie o powodzenie filmu wydaje się zbędna.

P.S. (usprawiedliwienie)

(ciąg dalszy nastąpi)

Pisaliśmy, że poprzestaniemy na dziesięciu odcinkach serialu. Wdłuższy się on o jeden, ponieważ uznaliśmy za dokładniejsze zapoznanie z okolicznościami powstania „Gry śmierci” jak też treścią filmu, może stanowić istotny przyczynek do pełniejszego rozumienia przedmiotu naszego serialu. Prawdy i legendy Bruce'a Lee.



Bruce Lee i Kareem Abdul Jabbar pozują do zdjęcia na planie „Gry śmierci”. Reprodukcja: Jacek Mirosław